

# Kammena

LUBLIN 26 XI 1978 NR 24 (66€)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## Od austro-węgierskiej okupacji do Polskiej Republiki Ludowej

Jan Lewandowski

**W**YDARZENIA lubelskie z przełomu października i listopada 1918 r., których kulminacyjnym momentem było utworzenie 7 listopada 1918 r. Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, mają już dziś dość bogatą literaturę historyczną, a ich przebieg jest stosunkowo dobrze znany. Mniej znana jest sferyczna atmosfera owych przełomowych kilkunastu dni, w czasie których Lublin był siedzibą trzech kolejnych różnych władz państwowych. Do 3 listopada mieściło się tutaj austro-węgierskie „cesarskie i królewskie Generalne Gubernatorstwo Wojskowe w Polsce”, podlegające bezpośrednio c. i k. Naczelnej Komendzie Armii i sprawujące od września 1915 r. administrację na terenie 27 południowych powiatów byłego zaboru rosyjskiego. Od końca października działał w Lublinie Juliusz Zdanowski — generalny komisarz warszawskiego rządu Rady Regencyjnej,

### Z LUBELSKIEGO DIARIUSZA C. I K. OFICERA

której to Radzie ostatni lubelski generalny gubernator, generał piechoty Anton Lipošćak, przekazał formalnie władzę 3 listopada. Po „cesarskich i królewskich” przeszło więc miasto pod „królewsko-polskie” rządy, tych bowiem przymiotników używały władze pochodzące z nominacji Rady Regencyjnej. 7 listopada „królewsko-polski” komisarz Zdanowski został pozbawiony władzy, zaś w manifestacji rządu Daszyńskiego stwierdzono, że państwo polskie „stanowić ma po wsze czasy Polską Republikę Ludową”. Z pokaźnego zestawu źródeł, którymi dysponuje historyk tych wydarzeń, najwięcej z ówczesnego

klimatu przynoszą te, które w owym klimacie powstały: relacje prasowe, fragmenty przemówień, ulotki, wreszcie dzienniki czyli diariusze świadków i uczestników owych wypadków.

Świadkami i uczestnikami wydarzeń lubelskich z przełomu października i listopada 1918 r. byli nie tylko Polacy. Płk Arthur Hausner, austro-węgierski oficer korpusu Sztabu Generalnego, był od września 1915 r. do lipca 1918 r. szefem sztabu lubelskiego Generalnego Gubernatorstwa, a w

Dokończenie na str. 4—5

## W Tarnogrodzie cywilizacja

Maciej Podgórski

**T**ABLICA przy szosie: Gmina (tu odpowiednia NAZWA) bierze udział w konkursie MISTRZ GOSPODARNOSCI. Nazwa gminy i konkursu wielkimi literami, reszta maczkami. Przejżdżasz samochodem, ogromne bukiety same wpadają w oko, myślisz sobie: A to ci dopiero pierwszorzędna gmina, mistrz gospodarności! Moda na takie naiwne pułapki reklamowe zapanowała w całej Polsce. Gdy się wjeżdża do Tarnogrodu, widać podobną tablicę, ale tutaj akurat wybieg można rozgrzeszyć. Gmina bowiem w zeszłym roku faktycznie została mistrzem gospodarności województwa tarnobrzeskiego, czyli pierwszą spośród czterdziestu siedmiu. Sam zaś Tarnogród zaskakuje pod względem cywilizacyjnym. Licząc 3500 ludności, mając status wsi, posiada szpital, liceum ekonomiczne, kino szerokoekranowe, dom towarowy, sklep „Delikatesy”, hotel, niemal pełną sieć wodociagową, dwa spól-

dzielsze bloki mieszkalne, osiedle domków jednorodzinnych...

— I na tym jeszcze nie koniec — powiada Zygmunt Mańkowski, naczelnik gminy, o którym usłyszałem opinię, że wszystkim się interesuje, wszystkiego lubi dopatrzeć. Naczelnik objął urząd w połowie 76 roku i bardzo ładnie się znajduje, oddając sprawiedliwość czasom dawniejszym, kiedy większość tych inwestycji powstała, przy dużym wysiłku miejscowej społeczności oraz dzięki pasjom i operatywności wieloletniego przewodniczącego GRN, Franciszka Mulawy, który dziś kieruje domem towarowym.

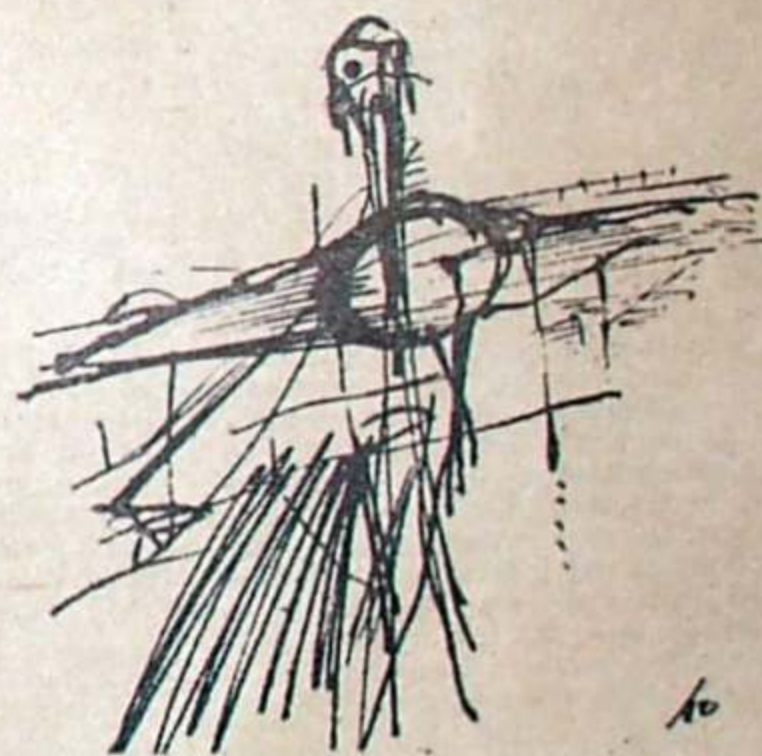
Tarnogród posiada też swoją „monografię historyczno-gospodarczą” autorstwa Wincentego Dep-

Dokończenie na str. 3

Stanisław Ryszard Dobrowolski

### DE REVOLUTIONIBUS RERUM

Co rano  
co dzień  
słońce wstaje  
i wieczorami zachodzi,  
by znów wstawać  
i znowu zachodzić  
bez końca  
i bez początku.  
O niedocieczonego wątku  
nici złota,  
kto cię dojrzy  
i kto uchwyci w locie?  
Co rano  
co dzień  
wstają, mrowią się rojowiska  
i zasypiają nocą,  
by znów rano wstawać  
i wieczorami zasypiać,  
nie wiedzieć czemu  
i po co.  
Gonia wiatr.  
Pytają filozofowie  
o sens obrotów rzeczy.  
Mają tysiąc i jedną odpowiedź  
a szukają jednej  
i wciąż nie mogą jej znaleźć  
— śmieśni.



ALE

Tak. Nie pozostanie po nas nic.  
Rozpadną się w proch nasze domy,  
rozsypią na pustyńny piach  
wille i stylowe palace,  
kościóły i szkoły,  
teatry,  
amfiteatry stadionów.  
Runą granity i brązy,  
zwietrzeją klasyczne marmury,  
klękną harde kolumny.  
Rozkruszą się na pył i popiół  
wiekowe rzeźby,  
plótka wielkich mistrzów,  
rozwieją zetłale kartki książek.  
Głuchy, zlodowociały glob  
będzie wirował w czarnej pustce  
wszechświata.  
Trzeba to mieć na uwadze  
Ale my będziemy robić swoje.



# z notatnika

9. XI. Dostałem w księgarni „Poezje wybrane” Mariana Czuchnowskiego. 300-stronicowy zbiór utworów ukazał się nakładem Wydawnictwa Literackiego w wyborze i z posłowiem Janusza Krzyszaka.

Dziwnie układały i ułożyły się losy tego poety. Jego przedwojenny życiorys znaczący był licznymi represjami, aresztowaniami, konfiskatami zbiorów poetyckich. Czuchnowski, członek Stronnictwa Ludowego, blisko współpracował z Komunistyczną Partią Polski. Pisze o tym Krzyszak, wspominając o zleceniu Czuchnowskiemu przez KC KPP misji przeprowadzenia rozmów z przebywającym na emigracji w Paryżu Wincentym Witosem w sprawie ewentualności utworzenia wspólnego frontu.

W bibliotece mego ojca zachował się poemat wiejski Czuchnowskiego, współpracownika „Kamienia”, pt. „Trudny życiorys” z nadrukiem „po konfiskacie nakład drugi” (Kraków 1934 r.). Czuchnowski własnoręcznie dopisał strofy zakwestionowane przez cenzora. Ale na jednej z czystych stron jest również list Czuchnowskiego do mego ojca.

16 sierpnia 1934 r. poeta pisał:

„Drogi Panie, młodziem przywalony straszliwymi ciosami. Przed trzema tygodniami umarł mi ojciec na raka płuc. Dotąd jeszcze nie mogę się otrząsnąć z rozpacz. Ostatnie miesiące otworzyły mi jeszcze raz szeroko oczy na straszliwe obszary ludzkiego życia, w które trzeba patrzeć twarde, męską zahartowanymi żenicami, twarde — jak stal. Równocześnie jeszcze jedno aresztowanie w czerwcu, pół roku w Sądzie Apelacyjnym w Krakowie, akurat w dzień pogrzebu ojca, rewizja, nędza, bezgraniczne wyczerpanie i zbieranie nowych sił do nowej walki. O ile wiem, wytrzymam długo! Ciekaw jestem wieści od przyjaciół. Wracam, do życia na nowo. Obecnie chcę rok pracować wyłącznie literacko. Urabiam ośrodek pisarzy wiejskich. Ciężki kawałek chleba! Proszę do mnie napisać o wszystkim. W tym roku nie będę mógł skutecznie pracować w „Kamieniu”. Obecnie głowę zaprzętają mi nowe książki...”

Przyszła wojna. Trafem losu Czuchnowski znalazł się w armii Andersa na Bliskim Wschodzie, potem osiadł w Londynie, gdzie pracował jako robotnik, kucharz, kelner, pomywacz. Ukończył 70 lat, ale nie przeszedł na emeryturę. Wskutek ciężkich warunków materialnych zmywa naczynia w kuchni BBC.

Pisarz mówi o sobie: „Na twórczość każdego człowieka praca fizyczna odciśnięta srebrną pieczęcią. Pisarze, którzy mieli często łopatę w rękę, inaczej piszą o robotnikach rolnych i fabrycznych, a właściwiej to ujmując, pisarze tacy widzą rzeczywistość — rzeczywistość realnie. [...] W chwilach ciężkich zawod robotnika był jedyną godziwą, męską możliwością utrzymania się i przeżycia, zarówno w czasie wojny, jak i po wojnie. To był w moim życiu jedyny zawód, który mi zawodu nigdy nie sprawił...”

Do odrodzonej Polski nie powrócił, jak tyłu innych, których wojenny los rzucił na Zachód. Trudno powiedzieć, jakimi motywami się kierował. Ale z dala od ojczyzny tworzył dalej i jego utwory weszły do skarbca literatury polskiej. Przeczytajmy ten wstrząsający utwór:

„Mój zimny, jak szklanka mleka,  
Bzy już zaczęły bukiety wień.  
Nie mogę pisać. Nie wolno mi pić.  
Tak się to wieje ta sama nie,  
Ta sama nie i los człowieka.

W moich łzach stoja światła Warszawy.  
Na wiele stądków parowych gwiazd.  
Tak to się mają zwyczajne sprawy.  
Piszę do ciebie ten głupi list,  
Ten głupi list. Życie ze mnie uleka.

Wszystko się kończy. W ostatniej chwili Myśl ci zostaje. Zostają rany.

Goście odeszli. Światła pogasły już w mojej willi.  
Zegnaj kochany. A ja się błąkam w tej pustej willi.  
Pólobłąkam.”

12. XI. Katolicki Uniwersytet Lubelski obchodził 60 rocznicę swego istnienia. Wczoraj z tej okazji odbyła się uroczystość poświęcenia budynku frontowego, na którym od czasów finału konklawe wisi transparent z napisem: „Nasz profesor papieżem”. Otwarto również wystawę obrazującą działalność wydawniczą i publikację pracowników naukowych KUL z ostatnich dziesięciu lat.

Dzisiaj główna część uroczystości, w których uczestniczy ks. kardynał Stefan Wyszyński — prymas Polski. Są obecni: kierownik Urzędu do spraw Wyznań — min. Kazimierz Kąkol, wojewoda lubelski — Mieczysław Stępień, prezydent m. Lublina — Longin Zieliński, przedstawiciele Episkopatu, Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, uczeni krajowych i zagranicznych, a także szefowie i członkowie szeregu placówek dyplomatycznych akredytowanych w Polsce.

KUL w ciągu sześćdziesięciolecia swego istnienia wniósł niepodważalny wkład w rozwój nauki polskiej. 10 tysięcy magistrów (z tego 410 w roku akademickim 1977/78), 600 doktorów, 100 przewodów habilitacyjnych...

Na uczelni studiuje obecnie ponad 2600 osób. Wydziały: teologiczny, prawa kanonicznego, filozofii chrześcijańskiej i nauk humanistycznych.

Rada Państwa przyznała grupie pracowników naukowych KUL wysokie odznaczenia państwowe. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał rektor KUL — prof. dr Mieczysław Krapiec. Krzyże Oficerskie — prof. dr Stanisław Papierkowski i prof. dr Zdzisław Papierkowski. Dziesięciu osobom przyznano Krzyże Kawalerskie, a dwunastu — Złote Krzyże Zasługi.

W tym miejscu muszę przypomnieć, że prof. dr Stanisław Papierkowski w powojennych czasach parą się dziennikarstwem, przez pewien czas piastował funkcję redaktora naczelnego „Gazety Lubelskiej” i „Życia Lubelskiego” — mutacji „Życia Warszawy”. Był również współpracownikiem „Kamienia”.

14. XI. Zaborcy koło Warszawy. Dom Twórcy Dziennikarza. Razem z kol. Tadeuszem Gwardakiem, a jesteśmy jedynymi przedstawicielami prasy lubelskiej, uczestniczę w zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Klubu Redakcyjnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, które (zebranie) poprzedza spotkanie z red. Henrykiem Korotyńskim.

Były długoletni redaktor naczelný „Życia Warszawy”, barwna i znana postać, rzuca garść refleksji na temat środków masowego przekazu, zwraca uwagę na formy propagandy i metody jej skuteczności. Zdaniem mówcy tu i ówdzie „przedobrzyliśmy”, nawet najbardziej interesujące wydarzenia, komentowane bez umiaru, powszednio. Skutek bywa odwrotny od zamierzonego. Propaganda dobra — to propaganda skuteczna. Potrzeba nam mniej oficjalności, a więcej bezpośredniego zaangażowania.

Klub Redakcyjny SDP skupia w swoich szeregach ludzi, pełniących określone funkcje w organizacyjnej strukturze redakcji, a więc redaktorów naczelných, ich zastępców, sekretarzy redakcji, pracowników sekretariatów, kierowników działów. Wszyscy oni mają bezpośredni wpływ na twórczość poszczególnych zespołów, poszczególnych dziennikarzy. Odpowiednia inspiracja, a z drugiej strony mądre korzystanie z długopisu przy adiustacji tekstów podwładnych decyduje o kształcie pisma. Podobnie rzecz ma się w radiu i tele-

wizji, choć tam może częściej używa się nożyczek niż długopisu. Wspominam o tym, abyśmy sobie zdali sprawę, że Korotyński przemawiał do ludzi kompetentnych. Inna rzecz, że na 193 zarejestrowanych członków Klubu w spotkaniu wzięło udział około 50. Zwyczajem, że w następnym dniu miało się odbyć zebranie sprawozdawczo-wyborcze, liczba ta na pewno nie jest imponująca. No i wydaje się, że istnieje potrzeba powiększenia grona członków samego Klubu, który ma na swoim koncie wiele cennych inicjatyw.

Przypomnę, że w tym roku odbyły się trzy interesujące sesje, każda w innym mieście. Oto ich tematy: programowanie i planowanie pracy redakcyjnej (Katowice—Bielsko—Biala); problematyka nauki i techniki w prasie, radiu i telewizji w świetle potrzeb kraju i poszczególnych regionów (Konin); problemy redakcyjne wiążące się z uprawianiem reportażu krajowego (Kraków—Tarnów).

15. XI. W tajnym głosowaniu wybraliśmy nowy zarząd Klubu Redakcyjnego SDP. Rozpiętość głosów dość duża — od 23 do 50 na 51 uczestników. Trzech kandydatów odpada. Na czele nowego zarządu ponownie staje Włodzimierz Checko, dziś redaktor naczelný „Gromady — Rolnika Polskiego”, a w dawniejszych czasach zastępca redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”. Owocnej pracy!

O piątą oglądam na ekranie telewizora mecz piłki nożnej Polska—Szwajcaria. Ważny mecz rozgrywany w ramach eliminacji do mistrzostw Europy. Nie ma Tomaszewskiego, nie ma Deyny, nie ma Kasperczaka, nie ma Szarmacha, a jednak wygrywamy i to w niezłym stylu, chociaż może pod koniec meczu nasi zawodnicy już nieco opadają z sił. Oczywiście można wybrzydzać, że mecz kończy się tylko wynikiem dwa do zera, że, zwłaszcza w pierwszej połowie, przy większej skuteczności ataku mogliśmy prowadzić trzy do zera. Trzeba jednak wiedzieć, że trener Kulesza jest w trakcie formowania nowej drużyny, stara się łączyć młodość z doświadczeniem, bojowość z rozsądkiem. O przynależności do kadry nie decyduje nazwisko, ale aktualne umiejętności. Najważniejsze, że zdobyliśmy dwa kolejne punkty, chociaż Holandia też je zdobyła, pokonując NRD 3:0. Ostatnie słowo będzie więc zapewne należało do wicemistrzów świata i do nas, zdecydująco bezpośrednie pojedynki. Patrzymy teraz na nie z nieco większym optymizmem, autor sąsiedniej „Szpalty o sporcie”, który tym razem pisze o rugby, zapewne też.

18. XI. Nadzwyczaj interesujący numer „Polityki”. Zbigniew Mentzel tym razem nie zajmuje się wydawnictwem, ale osobą Bogdana Chorażuka, dyrektora rzeszowskiej Estrady, który w ciągu dwóch lat działalności wypłacił sobie za teksty piosenek honoraria w wysokości 544 tysiące złotych! Teksty te w 90 procentach „szły na skład”, tworząc „podręczny bank”. Mentzel cytuje fragmenty utworów, znajdujących się w owym niecodziennym banku: „do wojska jechał będę jak jeździec się do milej, niech pedzi pociąg, pedzi, niech pedzi z całej siły”, albo „maszerują w słońcu chłopcy to na pewno wu-es-kowcy, metalowcy, mechanicy i tokarze, odlewnicy i zbrojarze, maszerują w słońcu chłopcy, idą nasi metalowcy”, albo też w innej tonacji „w domu telewizor i sterylna biel, palce z żalu gryzę, nie wiem, czego chcę”. Pikanterii dodaje fakt, że ekspert Ministerstwa Kultury i Sztuki, literat Andrzej Zaniewski, stwierdza w wydanej opinii: „Twórczość Bogdana Chorażuka jest głęboko zaangażowana, ideowa i użyteczna społecznie”.

Sprawa Chorażuka, której „Polityka” poświęciła niemal całą stronę druku, odbiła się zapewne dużym echem, bo autor—dyrektor należy do ZLP. Iu jednak w kraju grasuje nienobilitowanych teściarzy, którzy na różnego rodzaju budżetach potrafią „zarobić” wielokrotnie więcej niż utalentowani pisarze?!

W tym samym numerze pisma Andrzeja Mozołowski pisze o sprawie ze szmatami i gazą, którą wykryto w Lubelskich Zakładach Naprawy Samochodów. Tekst spokojny, jak to się mówi, wyważony, dający bardzo wiele do myślenia. Nie tylko dyrektorowi LZNS, Stanisławowi Szabale...

MAJ

## SZPALTA O SPORCIE

LUBLIN był w ostatnią niedzielę (19.VI.) miejscem międzynarodowego spotkania w rugby o puchar FIRA Polska — Rumunia. Wynik spotkania i jego przebieg omówiła prasa codzienna, nie ma więc potrzeby do tych spraw wracać na łamach pisma dwutygodniowego.

Wyróżnienie Lublina organizacją tego spotkania nie było przypadkowe, bo drużyna lubelskich „Budowlanych” niedawno jeszcze pierwszoligowa, a obecnie lider rozgrywek II ligi — dostarczyła reprezentacji kraju trzech zawodników.

Mecz Polski z Rumunią, która już trzykrotnie zdobywała puchar FIRA i jest obok Francji najlepszym zespołem na kontynencie europejskim (bez Wysp Brytyjskich, które wraz z Australią i Nową Zelandią należą do innej federacji — IBRF), spowodował zainteresowanie tą ciekawą, choć dla przeciętnego kibica nieco egzotyczną grą.

Dlaczego egzotyczna? Bo za mało znana i spopularyzowana. Wprawdzie kapitan reprezentacji Polski, zawodnik lubelskich „Budowlanych”, Jan Jagieniak, zajął piąte miejsce w plebiscycie na najpopularniejszego sportowca Lubelszczyzny, ale znajomość rugby wśród kibiców jest znikoma, a i zainteresowanie tym sportem niewielkie.

Nie bez winy jest tu prasa, radio i telewizja, w których rugby nie znajduje wiele miejsca, a dla telewizorów sport ten nie różni się od amerykańskiego futbolu, który nawet częściej gości na antenie telewizyjnej, choć nie w programach sportowych, lecz w amerykańskich filmach fabularnych.

Dotychczas sport ten raz pokazano w programie telewizyjnym. Była to przeprowadzona przed trzema laty transmisja z meczu Polski z potentatem rugby — Francją. Następna ma się odbyć — o co starają się działacze rugby — w maju przyszłego roku. Byłaby to transmisja meczu ZSRR — Polska.

Zbyt mała popularność rugby to koronny argument niepokazywania tego sportu w telewizji. Z kolei nieznaną w szerszym gronie kibiców powoduje jego zbyt mała popularność. I kilka się zamyka.

A wyniki? Wprawdzie nie jesteśmy potęgą, taką jak Francja, Rumunia czy kraje Wysp Brytyjskich, ale dwukrotnie zajęcie czwartego miejsca w pucharze FIRA stawia Polskę w czołówce średniaków. Ogólnie biorąc, mamy chyba w tej dziedzinie sportu więcej do powiedzenia niż np. w jeździe figurowej na lodzie, która nie może narzekać na zbyt małe przydziały czasu antenowego.

W opinii wielu działaczy i dziennikarzy ciąży na rugby odium brutalności, ale czy nie wynika ono z mieszania tej gry z futbolem amerykańskim? A zresztą hokejowe bodiczki, nie mówiąc już o okładaniu się kijami, i nie zawsze czyste ciosy bokserkie znajdują więcej uznania w transmisjach telewizyjnych.

Nasi niedzielnicy przeciwnicy — Rumuni — mają znacznie większe możliwości zapoznania swego społeczeństwa z tą ciekawą, emocjonującą, męską grą. Ostatnio telewizja rumuńska pokazuje bowiem spotkania rugby z Wysp Brytyjskich — samego grązda tego sportu. Nie jest to bez wpływu na napływ młodych kadr do rugby i podnoszenia na coraz wyższy poziom rumuńskiej reprezentacji krajowej, która też do Brytyjczyków bywa zapraszana.

Może i my, dziennikarze piszący, mówiący i pokazujący, przez zwrócenie większej uwagi na tę bardzo widowiskową, choć wprawdzie nie olimpijską dyscyplinę (podobnie jak m. in. jazda figurowa na lodzie, żużel czy wyścigi samochodowe), pomożemy w jej popularyzacji i rozwoju?

lgw





Blok mieszkalny



Delikatessa

# W Tarnobrodzie cywilizacja

Dokończenie ze str. 1

czynskiego, proboszcza tutejszego (obecnie na emeryturze), bilansującą 400-letnie dzieje miejscowości (1567—1967), wydaną przez Prezydium GRN dzięki — jak napisano we wstępie — energii i zapobiegliwości Franciszka Mulały.

Czasy się zmieniają, przychodzą reformy administracji, potrzeba innych pomysłów, innych działań, innych kwalifikacji. Z najnowszych osiągnięć naczelnik Mańkowski wymienia dwa, zeszłoroczne: uporządkowanie sieci wodociągowej, oddanie pawilonu handlowego z artykułami dla zaopatrzenia rolnictwa i gospodarstwa domowego.

Ruszać oglądać cywilizację tarnobrodzką. Szpital, oddany do użytku w marcu 1975 roku jako modernizacja starego budynku, prezentuje się dosyć okazale, choć niewielki, liczący 120 łóżek. Posiada dwa oddziały: wewnętrzny i ginekologiczno-polożniczy. Pełni funkcję szpitala rejonowego dla czterech gmin Antoni Gierczak, dyrektor placówki, powiada, że szpitalu nie ma sensu drobić. Lepszy jeden, duży, wielofunkcyjny, niż kilka małych. Ale — z drugiej strony — w wielkim szpitalu chory coraz częściej staje się tylko numerem, jednostką chorobową...

W każdym razie nieduży szpital tarnobrodzki jest obłożony pacjentami spośród których w ostatnich latach przeważają ludzie starsi, częstokroć opuszczeni przez najbliższych, kwalifikujący się do domu dla przewlekłych chorych, wymagający nieustannej opieki i troski. Tymczasem jak w całym kraju, są kłopoty z salowymi. Brak chętnych. Kobieta woli zasnąć tytuń i sto tysięcy ma na czysto.

Obiekt stawały przedsiębiorstwa budowlane z Bilgoraja, które teraz wolą płacić kary umowne niż usuwać wycieki. Prawda jest taka, że windy szpitalne i wyciągi powietrza w kuchni nie działają. Już po oddaniu budynku trzeba było gabinet rentgenologiczny powiększyć o sąsiadujący korytarz zaś aptekę przenieść do obszerniejszego pomieszczenia. Na korytarzach tu i ówdzie widać zacieki. Bardzo byłaby potrzebna nowa pralnia, jeśli zakupione urządzenia pralnicze nie mają być odprzedane.

Zgadza się jednak z doktorem Gierczakiem, że ten pracujący w nienajłatwiejszych warunkach szpital jest potrzebny i pełni ważną rolę w swoim rejonie, choćby właśnie wobec starych, chorych ludzi.

Do domu kultury w Tarnobrodzie, siedziby Gminnego Ośrodka Kultury i okazalego kina „Grunwald”, wozą się oficjalne delegacje z Zamościa, albowiem jest czym się pochwalić: salą widowiskowo-kinową na 250 miejsc, kawiarnią, izbą pamięci, znakomicie urządzone i wyposażone ośrodkiem pracy ideowo-wychowawczej KG PZPR. Drewniane boazerie, obite eleganckim materiałem tekstylnym ściany...

Pod nieobecność dyrektora GOK rozmawiam z instruktorką, Marią Koziarową. Ze stałych przedsięwzięć wymienia: międzywojewódzki sejmik wiejskich zespołów teatralnych (przeniesiony ze Stoczka Łukowskiego), konkurs na ogródki kwiatowo-warzywne w gminie, amatorski zespół teatralny w Tarnobrodzie, kapelę ludową, widowisko „Wesele tarnobrodzkie”...

Jakie płyną satysfakcje z pracy w domu kultury? Na przykład pracuje się z jakimś zespołem, potem on występuje i ludziom się podoba. A zajęć jest dużo — całą imprezę się zaliczają: lokomocje, finanse i różne takie. Instruktor powoli staje się omnibusem.

Maria Koziarowa była jedną z dwu instruktorek GOK, które zrezygnowały z tej pracy i otworzyły prywatną wytwórnię gofrów. Kilka lat temu skończyła liceum ekonomiczne, ciężko było z pracą w wyuczonym zawodzie, więc poszła do GOK, początkowo za 1800, potem za 2500. Nie jest mężatką, mieszka przy rodzicach.

Więc z goframi, mówi, było tak, że chciała się usamodzielnic, więcej zarobić. Gofry nie wyszły —

trwało dziewięć miesięcy, samochodu brak dla dostaw artykułów, smieciarek krenowych oraz lokal tymczasowy, niezbyt przystosowany. No i zrezygnowały, tym bardziej, że dyrektor GOK zaczął je do powrotu podwyżką pensji. W tej sprawie do województwa jeździł sam naczelnik gminy.

W Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zamościu dowiadują się, że sytuacja kadrowa w wiejskiej kulturze jest bardzo trudna, nie chcą ludzie iść do gmin, ciężko ustabilizować kadre. W każdym razie zgoda, iż każdy człowiek ma prawo odmienić swój los na dostateczniejszy, nie ma jednak prawa czynić z tego pozycję; przetargowej. Bądź co bądź Maria Koziarowa i jej koleżanka po powrocie do GOK otrzymały po 900 złotych podwyżki, na co pieniądze jakoś znalazły się. Pozostawiona wytwórnię gofrów przejął... inny instruktor tarnobrodzkiego GOK, zwalnając się z pracy w kulturze! Czasy stają się coraz bardziej merkantylne.

Nie ulega wątpliwości, że hotel w Tarnobrodzie jest potrzebny. Biegnie tędy szlak w Bieszczady; droga: Lublin — Przemyśl — Medyka Ruch turystyczny i handlowy (samochodowy transport towarów). Kierowcy wielkich TIR-ów często nocują w Tarnobrodzie, turysta indywidualny zajrzy niezadko, a i zbiorowy mógłby zajrzeć, gdyby udało się wykwaterować z obiektu dwie rodziny i posze-



Szpital



Dom kultury

żyć hotel, zyskując akurat tyle miejsc, żeby mogła przenoćować pełna obsada turystów autokaru wycieczkowego.

Nocowałem w hotelu tarnobrodzkim, warunki są znośne, przydałaby się recepcja. Sprawa wykwaterowania obu rodzin jest na dobrej drodze. Tymczasem WPT „Roztocze”, gestor hotelu, zamierza zamknąć placówkę jako nierentowną, a w najlepszym wypadku powierzyć ją prywatnemu agentowi, przy czym to pierwsze staje się znacznie pewniejsze. Wypadłoby spytać, czy dziś wszystko musi być rentowne, szczególnie w dziedzinie usług dla

ludności. Kiedyś w Tarnobrodzie zlikwidowano, też jako nierentowny, dom ogrody, gdzie mieszka się laznia publiczna i pralnia. Długo Tarnobród nie ma ani lazni, ani pralni. Najłatwiej jest bowiem likwidować. Zresztą jakim cudem hotel ma się stać o-płacalny dla prywatnego agenta, a nie pociąga WPT?

Gminna Spółdzielnia na wsi to dzisiaj alfa i omega zaopatrzenia terenowego, a przez GS niezadko grasta do trzeciej osoby w gminie. Chodzę po pięknych tarnobrodzkich sklepach i stan towarów oceniam jako średni. Sytuacja podobna jak w całej Polsce, całkiem przyzwyczajony w dziedzinie odzieży (plaszczy, garniturów, jesionek, koszul etc.), sprzętu elektrotechnicznego; niezła w dziedzinie o-buwia, konserw rybnych, przetworów owocowo-warzywnych...

Ale ludzie mają większe apetyty i Jan Krasowski, wiceprezes tarnobrodzkiego GS do spraw zaopatrzenia ludności, człowiek mimo wszystko pełen optymizmu i humoru, opowiada mi, jakie oni w zeszłym roku czynili starania oraz zamiany, żeby polepszyć stan zaopatrzenia. Rejon bogaty w kaszę gryczaną, mak i miód posiada dosyć silny atut, żeby pozyskać galanterię czekoladową, cukierki zawijane i waflle tortowe (te ostatnie, jak się pokazuje, bardzo na wsi popularne). Także masarnia GS pracowała wtedy pełną parą, czego dziś nie można powiedzieć.

Różne wyprawy poza teren województwa nie wszystkim się podobają, może zresztą częściowo i słusznie, tak że w tym roku trzeba było ich zanieść. Sęk w tym, iż plan obrotów GS ustalono do wysokości zeszłorocznej i jest gimnastyka handlowa. A w dodatku klient czasem chce stać się hurtownikiem, zamiast kilograma kaszy jeźmiennej kupuje cały worek i tą masą oplaca mu się spaść trzode.

Podstawowy dochód obywatela Tarnobrodzkiego bierze się z rolnictwa. W miejscowości znajduje się 590 gospodarstw rolnych, głównie jednak drobnych, nie przekraczających 3 ha. Krowa, ze dwie świnki, kury. Tarnobród, ongiś miasto, ma cztery przedmieścia, które z powodzeniem mogłyby być odrębnymi sołectwami i tu właśnie sytuuje się rolnictwo.

Dotkliwych braków kadrowych Tarnobród nie odczuwa. Sporo jest rodowitej kadry, która wykształciła się w dużych miastach i powróciła do rodzinnej miejscowości. To są zresztą najczęściej tak zwani dwuzawodowcy, albowiem kadra też miewa pola (naczelnik nie ma, jego żona dyrekturuje w liceum ekonomicznym, mieszkają w bloku spółdzielczym). Zastępuje się tytuń, raz w roku świnkę udusi, kartofle własne... I po pracy zajęcia jest pozytywne oraz zdrowe. Model dobrobytu — domek i samochód. O tym, że się jadło kartofle z kapuszą i barszczem popijało, dawno zapomniano. Usłyszałem opinię, że to jest wszystko w porządku; niech będzie pracownikiem państwowym, niech ma gospodarstwo, które mu żyć pomaga, tylko żeby i państwu coś z tego gospodarstwa oddawał.

W każdym razie ludzie mają pieniądze, domki rosną jeden za drugim, choć z materiałami budowlanymi kłopot i gmina niewiele może przydzielić.

Zdzisław Sidor, I sekretarz KG PZPR, twierdzi, że przyszłość gminy i samego Tarnobrodzkiego w perspektywie. W Tarnobrodzie znajduje się siedziba PGR, działającego w trzech gminach. Widziałem cztery piękne bloki mieszkalne, wystawione w Tarnobrodzie przez PGR Mieszkania o podwyższonym standardzie. Sekretarz wyraża pogląd, że PGR włącza się w życie społeczno-gospodarcze Tarnobrodzkiego, ale chyba trochę za mało. Lepiej dołożyć do budowy drogi, z której samemu będzie się korzystać, czy też objeżdżać bokami, nakładając kilometrów? To się nawet pozwala przeliczyć na pieniądze.

— PGR wszystko może i wiele robi dla gminy, ale pewnych spraw woli unikać, choćby dotowania kultury — usłyszałem opinię, która się powtarza.

Tak czy owak Zdzisław Sidor powiada, że obywatelnie można być zadowolonym z postępów cywilizacyjnych Tarnobrodzkiego. Tego, co tam już zrobiono, mogłaby pozazdrościć niejedna siedziba gminy w bogatych rejonach kraju. Bardzo ważne są gospodarskie pomysły, żeby nie się nie zmarnowało. Zamierzają rozbierać stare budynki po sklepach, gruz spożytkują na utwardzenie dróg dojazdowych do pól. I to jest właśnie jeden z takich pomysłów. Albowiem w każdej sytuacji, w każdych trudnościach zawsze jeszcze można coś zrobić.

Maciej Podgóski  
Zdjęcia: B. Konopka



## Z LUBELSKIEGO DIARIUSZA C. I K. OFICERA

Dokończenie ze str. 1

ostatniej dekadzie października 1918 r. znów znalazł się w Lublinie. Jego lubelski dziennik, prowadzony skrupulatnie, dzień po dniu, obejmuje ponad 30 stron druku, a jego wartość podnosi fakt, że autor posiadał doskonałą znajomość miejscowych realiów politycznych, a z racji swoich obowiązków pozostawał w codziennym kontakcie z generałem Lipoścakiem, komisarzem Zdanowskim i wreszcie z członkami gabinetu Daszyńskiego. 24 października płk Hausner przyjechał z Warszawy do Lublina: „Już w Warszawie znalazłem ogólny nastrój dość nerwowy, a na dobrze znanym mi lubelskim gruncie doszło mnie przeczuć, że nasz zarząd wojskowy oczekują tutaj burzliwe dni. Uznałem się

la jedynym czynnikiem w walce o władzę.” W dążeniu do uchwycenia władzy każda partia starała się stworzyć sobie własną gwardię. Na legalnym gruncie (uznania władzy Rady Regencyjnej — J.L.) stoi jeszcze dzisiaj tylko Polska Siła Zbrojna. Obok niej istnieją jednakże oddziały byłych legionów Polskich, Biała Gwardia (byli członkowie korpusu Muśnickiego), POW jako wojskowy organ lewicy, poza tym armia polska pod generałem Hallerem we Francji i oddziały polskie w Rosji. Teraz dochodzą do tego jeszcze oddziały austriacko-galicyskie (Polacy z b. armii austro-węgierskiej — J.L.). Jak Polska chce pogodzić te wszystkie cząstki?”

Władze okupacyjne uznawały za jedyną legalną władzę państwową polską Radę Regencyjną i powołane przez nią organy wykonawcze. Wieczorem 31 paź-

że gen. Puchalski został komenderującym generałem w Galicji, gen. hrabia Lamezan komendantem we Lwowie, a płk Legionów Roja w Krakowie. Twierdza Przemyśl została przekazana wojsku polskiemu, pułki galicyjskie złożyły polską przysięgę. Z Kielec zatelefono- wano, że tamtejszy 56 pułk piechoty (złożony w 80% z Polaków z Galicji — J.L.) również żąda jak najszybszego zaprzysiężenia Polsce. Jest zrozumiałe, że gubernator i szef sztabu zostali tymi wypadkami wysoce poruszeni. W południe zameldował się u Lipoścaka polski ppłk Pasławski, szef sztabu przysiężonej polskiej dywizji, która ma mieć siedzibę w Lublinie. Człowiek, który dawniej wyglądał bardzo niewinnie, zblił Lipoścaka zupełnie z trąpa. Gubernator powiedział mi przy obiedzie, że nie ma już tutaj czego szukać i opuszcza

# Od austro-węgierskiej okupacji do Polskiej Republiki Ludowej

więc za uprawnionego do skłonienia przede wszystkim generalnego gubernatora Lipoścaka, aby podjął wszystkie przygotowania do jak najszybszej ewakuacji okupowanego obszaru”. W dniu następnym „gubernator zarządził, że względu na groźną postawę części ludności, że osoby wojskowe mają stać się przy sobie broń i po zapadnięciu ciemności nie powinny wychodzić pojedynczo na ulice.”

Informacje z terenu okupacji w pełni uzasadniały posunięcia generalnego gubernatora: „Z powiatów przychodzą ciągłe wiadomości o zgromadzeniach i demonstracjach, które kierują się przeciw okupacji i przeciw rekwizycji żywności przez Generalne Gubernatorstwo [...] Do komendantów udają się deputacje, aby żądać uwolnienia więźniów politycznych. Żądania zostały uwzględnione. Chłopi odmawiają dostawy żywności i innych płodów rolnych do magazynów skarbowych. Zandarmeria i oddziały etapowe (wojska okupacyjne — J.L.) są już oczywiście zbyt słabe, by energicznie wkroczyć, poza tym wszystkie nasze oddziały zostały owładnięte pewnym podnieceniem i niepewnością. Wiadomości obniżają krytycznie spoistość oddziałów”.

Kiedy autor diariusza notował te uwagi, dokonywała się już faktyczna likwidacja c. i k. monarchii naddunajskiej. Docierające do Lublina z pewnym opóźnieniem informacje o sytuacji na ziemiach polskich i w całej Europie, zarówno prawdziwe jak i te, które potem okazały się fałszywe, nie pozostawały bez wpływu na sytuację i atmosferę w mieście. 30 października płk Hausner, z własną sobie kronikarską skrupulatnością zanotował: „Na ulicach Lublina ukazują się na każdym rogu plakaty POW (Polskiej Organizacji Wojskowej — J.L.), które mobilizują i wzywają swoich członków pod sztandary. „POW nie by-

dzienika działający z ramienia Rady Regencyjnej komisarz Zdanowski konferował z przedstawicielami Generalnego Gubernatorstwa w sprawie przejęcia władzy. Wśród reprezentantów strony austriackiej był także autor diennika, który zanotował: „Celem posiedzenia było ustalenie programu przejęcia agend gospodarczych [...] przez rząd polski. Jako ostateczny termin został ustalony 3 listopada. Wynik rokowań został zawarty w protokole [...] Tak więc byłby zrobiony pierwszy krok do ostatecznego przekazania administracji, niestety bardzo późno. Aby zabezpieczyć szybki wywóz naszych zapasów, chciałem już jutro przeprowadzić przekazanie magazynów etc. Polacy, dziwnym zbiegiem okoliczności obstawiali przy tym, że przekazanie nastąpi dopiero 3 listopada”. Wypadki dnia następnego wykazały, że zwłoka strony polskiej była równie uzasadniona jak rozpierzch Hausnera, dla którego motywy rekowej opieszalności stały się już oczywiste: „Na protokół z wczorajszego posiedzenia z komisarzem generalnym Zdanowskim, który miano mi dzisiaj dostarczyć do podpisania, czekałem daremnie cały dzień. Sądzę, że Polacy wolą oczekiwać rozwoju wypadków i załatwić się z nami bez protokołu.”

Wydarzenia 1 i 2 listopada potwierdziły słuszność takiej oceny sytuacji. „Wypadki przebiegają się, każda godzina przynosi nowe wiadomości, nowe hienbowe wieści. Cesarz miał abdykować, Tisza (b. premier węgierskiej części monarchii — J.L.) zostać zamordowany. Wiadomości te nie są jeszcze potwierdzone, ale są znamienne dla nastroju.”

Także w Polsce sytuacja zmienia się w każdej chwili. Lipoścak otrzymał depeszę polskiego szefa Sztabu Generalnego, Rozwadowskiego, w której ten zawiadamiał o objęciu władzy wojskowej w Polsce i Galicji. Dowiedzieliśmy się,

jak najszybciej Lublin. [...] Zastępca Lipoścaka, marszałek polny por. Kralowicz zapytał mnie, czy pozostałbym przy nim w Lublinie. Odpowiedziałem twierdząco, dodałem jednakże, że kiedy nasze oddziały opuszczą Polskę, my również będziemy tutaj niepotrzebni. Zresztą — kto jest jeszcze teraz „naszym wojskiem”? Dotychczas wyczyliśmy do niego także Czechów, Węgrów, Polaków, etc. To jednak wydaje się ustawać. Po południu polecił się zameldować u generalnego gubernatora ppłk audytor Schmidt i rotmistrz hrabia Dobfensky i prosili o pozwolenie założenia przez czeskich oficerów i żołnierzy kokard narodowych. Lipoścak odmówił i zauważył, że my wszyscy jesteśmy jeszcze żołnierzami cesarskimi. Odmowa niewiele pomogła: wyznaczone na jutro zaprzysiężenie Galicjan spowodowało szal radości także innych narodowości. Wszystkie one chciały się przyznać do swoich narodów. Prądowi nie można już było się oprzeć.

2 listopada, sobota. Wydarzenia są nie do opisania. Oddziały galicyjskie złożyły dzisiaj we wszystkich miejscowościach Generalnego Gubernatorstwa przysięgę Polsce i noszą już na czapkach polskie orły. Także czescy żołnierze i oficerowie noszą na czapkach narodowe kokardy. Czesi złączyli się w „Zgromadzenie Narodowe”, jako wydział którego funkcjonuje w Lublinie „Czeska Rada Żołnierska”. Zgromadzenia narodowe utworzyli tu także żołnierze węgierscy i żydowscy, tylko Jugosłowianie, czyli kompanie bośniackie, utrzymują dyscyplinę i stanęły do dyspozycji generalnego gubernatora, prawdopodobnie dlatego, że jest on Chorwatem [...].

Wszędzie żołnierze porzucają swoje posterunki i udają się do ojczyzny. Kolumny aut ciężarowych, które były przydzielane do ścigania zboża w terenie,

pojechały, zapchane żołnierzami, do kraju.

[...] Połączenia z Naczeiną Komenda Armii od wczoraj nie można już nawiązać. To, co wiemy ze świata zewnętrznego pochodzi z miejscowych dzienników.

Byłem przed południem u Lipoścaka i zaproponowałem mu zaprzestanie wszelkich rokowań ze Zdanowskim. Rokowania nie mają już przecież żadnego sensu. Ze względu na przejście pułków galicyjskich, które stanowiły główny kontyngent armii okupacyjnej i utworzenie rad żołnierskich w oddziałach czeskich i węgierskich, a więc ze względu na zupełne ustanie naszego autorytetu, wydaje się lepiej pięknym gestem samemu rzec się władzy niż pozwolić pozabawić się jej siłą.

Lipoścak poszedł za radą swego byłego szefa sztabu i jak zanotowałem w swym pamiętniku inny funkcjonariusz Generalnego Gubernatorstwa, przy Jampolski, zwołał na godzinę 11 przed południem ogólne zebranie oficerów i urzędników Generalnego Gubernatorstwa. Na zebraniu to przybył już z chorwacką kokardą narodową na czapce. W krótkim przemówieniu zwołał wszystkich z przysięgi na wierność cesarzowi i złożył życzenia wiernej służby swoim narodom.

Sobota, 2 listopada, zajmuje w diariuszu Hausnera szczególnie dużo miejsca, ale też i wydarzenia przybrały obrót zbyt szokujący nawet dla zazwyczaj opornego w nieoczekiwanych sytuacjach i powściągliwego oficera korpusu Sztabu Generalnego. Ponadto, jego własna osoba znalazła się w centrum relacjonowanych zdarzeń.

„6.30 wieczorem. To jest zbyt szalone. Teraz także Niemcy austriacy mają w Lublinie Radę Żołnierską i właśnie ja jestem jej „przewodniczącym”. Doszło do tego tak: krótko przed obiadem zagadnęła mnie żona ppłk. W.: powiadomiono ją, iż kilku oficerów rezerwy miało zwołać na popołudnie zgromadzenie wszystkich austriacko-niemieckich oficerów i żołnierzy. Wyostrożona uwaga potwierdziła tę wiadomość i zastanawiałem się, czy nie byłoby celowe, aby także czynni oficerowie wzięli udział w zgromadzeniu. Myśl o „zgromadzeniu żołnierskim” wywołała nawet we mnie pewne niemiłe uczucia, w końcu zdecydowałem się zapytać gubernatora. Lipoścak zgodził się z mną, że byłoby dobrze, gdyby także starsi oficerowie byli przy tym i radził mi odszukać „romadzenie”.

O 3 po południu rozpoczęło się w drugiej jadalni oficerskiej Generalnego Gubernatorstwa, zwołane przez kapitanów: von Kallingera i hrabiego Sternberga, zgromadzenie. Po kilku słowach wprowadzających tych, którzy zwołał zgromadzenie, zażądano wyboru przewodniczącego i nagle — zostałem wybrany przez akklamację na szefa Rady Żołnierskiej. Moje zaskoczenie było ogromne i sądzę, że w całym moim życiu nie byłem tak zmieszany, jak w chwili, kiedy musiałem wejść na stół i wygłosić z tej zaimprowizowanej trybuny moją pierwszą mowę polityczną. Kiedy jednakże po słowach wstępu: „Kochani austriacko-niemieccy towarzysze!” wybuchł huczny pokłask, stałem się natychmiast pewniejszy i wypełniłem swoje zadanie jako tako przyzwolnie. [...] Po posiedzeniu udałem się do Lipoścaka i zameldowałem się — co za sytuacja dla oficera, który był 21 lat w służbie cesarskiej — jako przewodniczący austriackiej Rady Żołnierskiej. Lipoścak przyjął meldunek do wiadomości, zauważył, że przyjęcie wyboru było bardzo rozsądne i przyrzekł nam swoje poparcie.

Wieczorem przez miasto przeciągają niesłychane tłumy ludzi. Czesi urządzili pochód z wiewatami na cześć Polski i zostali powitani okrzykami radości

# oko- lice sztu- -ki

Kamena str. 4

## „Absolwent”

### działa

## w Puławach

**P**IERWSZY raz w lutym miniego roku, drugi — kilka tygodni temu w Puławach oglądałem wystawę malarstwa i rysunku trojga autorów, którzy nazwali się grupą plastyczną „Absolwent”

Niektórym pracom przyglądałem się dłużej, inne miałem obojętnie, w jednych znajdowałem pewne wartości malarskie i ambicje fantasmagorycznej publicystyki na temat kłopotów życiowych transponowanych w ludzkie środowisko przez przemysł i nowoczesne techniki zabijania, w drugich — liryczną zadumą nad dziwnością tego świata, dającą o sobie znać w sytuacjach bardzo zwyczajnych. Odnoteowałem ponadto, że autorka „Chirurgii formy” ma trochę nadmierną skłonność do narracji i posługiwania się ogólnie znanymi symbolami, przemawiającymi przeciw do wyobraźni zrutyfikowanej, że twórcza rysunkowej serii „Podzwonne dla wspomnień” cení sobie nadrealistyczny sposób budowania metafory, choć bywa i bardziej powściągliwy, że autor „Zmierzchu” realizuje swoje emocje przez ekspresyjne antropomorfizacje

drzew pozbawionych życia, czasami broniące się skutecznie przed manierą, przed repetycjami identycznych rozwiązań rysunkowych.

No i doszedłem do banalnego, choć jedynie uprawnionego wniosku, że nie nawiązanie kontaktu z grupą „Absolwent” byłoby tak samo bezsensowne, jak entuzjastowanie się poczynaniami Marii Kapturkiewicz-Szewczyk, Władysława Klepki i Zbigniewa Pieleszka.

Po pierwszej wystawie do spotkania stron jednak nie doszło. Od dłuższego czasu nie mam zaufania do plastykujących amatorów, albowiem przekonałem się, że ludzie tacy dawno zapomnieli o szlachetnych, było nie było, ideałach działania dla własnej satysfakcji, dla zdrowia osobistego, dla radości najbliższych i statystyki gminnego, po-



przez ludność. W budynku Generalnego Gubernatorstwa (Plac Litewski 3 - J.L.) wielki nieład. Oficerowie sztabu Generalnego Gubernatorstwa biorą udział w paleniu tajnych akt. Stopy piśm - rezerwatów i instrukcji wędrują do pieca. Oficer korpusu Sztabu Generalnego, który kierował Oddziałem Wywiadu i urzędnik policji uciekli autem w przebraniu do okupacji niemieckiej, ponieważ rzekomo nastawano na ich życie.

Kiedy po kolacji idę do domu (przy ul. Niecałej - obecnie Sławińskiego - J.L.) z mjr Ebensteinem i kpt. Holubem, zostajemy w pobliżu hotelu „Janna” otoczeni przez grupę uzbrojonych żołnierzy i cywilów pod dowództwem polskiego oficera i żąda się od nas oddania broni. Odmawiam tego po polsku, na co oficer grzecznie kłania się i odchodzi ze swoją świtą. Akcja rozbrajania została od dzisiaj rana bardzo przez Polaków przyspieszona.

Moją rozetkę z cyframi cesarskimi muszę dziś zastąpić czerwono-biało-czerwona kokardą (barwy republikańskiej - J.L.). To powoduje nagły skurcz. Odziedziczone i przechodzące w krew tradycje rozpada się, powstaje nowy porządek. Niemcy austriacy mieli 30 października ustanowić nową ustrój i przyjąć republikańską formę państwa. Pogłoska mówi, że cesarz Karol został zabity przez żołnierzy, a cesarzowa została ciężko ranna [...].

3 listopada, niedziela. Generalne Gubernatorstwo przestało funkcjonować [...] Tymczasem dokonuje się zaskoczenie i rozbrojenie garnizonu w szybki sposób, ale przynajmniej bez rozlewu krwi. Niedorośli uczniowie zmuszają wycelowanego rewolwerem albo przyłożonym karabinem oficerów i żołnierzy do złożenia broni. POW. odgrywa przy tym kierowniczą rolę. Opór jest bezcelowy, więc nie jest przez nikogo stawiany. [...] Budynek gubernatorstwa, magazyny państwowe, jadalnie oficerskie, filia Banku Austro-Węgierskiego i Credit Anstalt zostały obsadzone przez Polaków. [...]. Na parterze głównego budynku Generalnego Gubernatorstwa umieściło się polskie Naczelné Dowództwo. Ppłk Pasławski i były c. i k. płk Filous są teraz władcami. Do pomieszczeń Oddziału Wywiadu i Referatu Zandarmerii wkraczają polscy żołnierze pod dowództwem naszego, obeznanego z budynkiem, obecnie polskiego oficera i zajmują akta, o ile nie zostały one spalone. [...]. Mój sługa ma już wprowadzić polskiego orła na czapkę, ale pozostał mi wierny i z powodzeniem broni mojego mieszkania przed złodziejami i innymi intruzami. [...].

Wczoraz cały Lublin jest w polskich rękach. Przed wszystkimi budynkami wojskowymi stoją na posterunkach uzbrojeni cywile, w części młodzież szkolna, wyposażeni we wszelką możliwą broń. Umieją jednakże utrzymać porządek, zachowują się zupełnie po żołniersku i pozdrawiają nas, austriackich oficerów, bardzo energicznie. Kiedy wieczorem szedłem z jadalni oficerskiej, którą znowu Polakom odebraliśmy, miasto było bezładne, jak wymarłe. Tylko tu i tam pada strzał, z pewnością przeciw temu lub innemu z dwustu ciężkich przestępców, którzy dzisiaj „rewolucję” wykorzystali do ucieczki z wielkiego lubelskiego więzienia. [...].

3 listopada 1918 r. zakończyło zatem swój żywot c. i k. Generalne Gubernatorstwo Wojskowe. Z budynków zniknęły czarno-żółte flagi monarchii habsburskiej, a z dokumentów urzędowych pieczęcie z dwugłowym orłem c. i k. armii lub z trzęsicielowym godłem podwójnej, austro-węgierskiej monarchii. Na starych formularzach urzędowych zarządu okupacyjnego rozpoczęły w Lublinie urzędowanie „królewsko-polskie” władze, używające pieczęci z orłem w

koronie. Jednakże władza „legalnych” spadkobierców władz okupacyjnych miała się okazać zaledwie kilkunastoletnią. Były c. i k. płk Hausner, którego główną troską było teraz organizowanie wyjazdu Niemców austriackich, ludzi się chyba czas jakiś nadzieję na spokojnie wykonywanie swych nowych obowiązków, kiedy pisał 5 listopada: „Osobliwym sposobem otrzymuję dwa datowane 1 i 2 listopada listy od mojej żony z Wiednia - dowód jak stosunkowo spokojnie dokonał się cały przewrót i jak ciągle jeszcze funkcjonuje mieszany austriacko-polski zarząd poczt.”

Przewodniczący Rady Żołnierskiej był jednakże człowiekiem zbyt doświadczonego, by nie dostrzec nic w mieście. Na zakończenie dość skąpych notatek z 6 listopada, dodał:

„Wieczorem ożywna strzelanina na ulicach, muszę zamknąć okiennice, aby w ogóle móc zasnąć. Z pewnością coś jest w toku.” Istotnie: 7 listopada, czwartek. Kiedy rano opuszczałem swoje mieszkanie, spotykam sierżanta Kleina. Dzielny człowiek, ze względu na swoją wszechstronną przydatność nasz totum-facti w Oddziale Sztabu Generalnego, „człowiek do wszystkiego”, jest bardzo poruszony. Radzi mi nie wychodzić na ulicę, wybuchła nowa rewolucja, robotnicy zagarnęli całą władzę, na ulicy stoją gotowe do strzału karabiny maszynowe i wzniesiono barykady. [...] Istotnie ulice są jak wymarłe: widzi się tylko tu i tam parę dziwnych postaci albo pędzące skądś auto z czerwonym sztandarem. Przed hotelem Victoria stoją na posterunku dwaj osobliwi czeladnicy z karabinami, poczta i telegraf są obsadzone przez takich samych ludzi. Plac przed budynkiem Generalnego Gubernatorstwa, na którym właśnie w ostatnich dniach panował tak żywy ruch, jest pusty. Warta wprawdzie chodzi, ale składa się z typowych partyzantów, którzy noszą najróżniejszą broń. [...] Moją jedyną troską są naturalnie Niemcy austriacy. Aby poprosić o ochronę, chcę iść do nowego rozkazodawcy, ppłk Rydza. Przybywam do hotelu Victoria, gdzie ma mieszkać Rydz. Oba bardzo obdarce wyglądające posterunki oddają mi bardzo energicznie honory wojskowe i pozwalają mi bezzwłocznie przejść.

W hotelu bardzo ożywiony ruch. Umundurowani i na wpół w cywilu oficerowie i żołnierze chodzą tu i tam. Zwracam się do młodego oficera, który mi bardzo grzecznie udzielił informacji, że „głównodowodzący” powinien znajdować się w Komendzie Placu lub w budynku Generalnego Gubernatorstwa. [...] Idę do gubernatorstwa. Przy wejściu do dawnego Oddziału Sztabu Generalnego stoi na posterunku bosi człowiek, który nienagannie prezentuje broń i pozwala mi wejść. [...] Próbowałem dostać się do „głównodowodzącego” o tym niestety nie było mowy, ale zostałem dopuszczony do jego szefa sztabu mjr Burkhardt (były oficer rosyjski, absolwent petersburskiej Akademii Sztabu Generalnego). Wchodzi i widzę polskiego oficera w towarzystwie bardzo skromnie wyglądających kobiet, oficera, który ma zupełnie zabandażowaną głowę, tak że widoczne są tylko oczy i nos. Mjr Burkhardt przyjmuje w imieniu swego szefa bardzo uprzejmie moje żądania, uważa jednakże, że obecnie nie mógłby mi nie pomóc. Władza nowego rządu opiera się jeszcze na bardzo słabych podstawach [...].

Odechodzącym jutro rano pociągiem opuści Lublin generalny gubernator. Dwie kompanie bośniackie, które pozostały mu wiernie i polska warta honorowała odjadą z nim. [...] Mieliśmy jeszcze wspólną kolację, potem o 11 generalny gubernator pożegnał się i pojechał na dworzec, gdzie przenocował w pociągu. Kiedy w nocy poszedłem do domu, miasto było zupełnie spokojne, ulice

bezładne. Tylko tu i tam przerywał dźwięk równy krok robotniczych patroli. Od dworca słychać było żywy ogień karabinowy. Także posterunek, który z niezrozumiałych przyczyn stoi w ogrodzie za moją kwatery, bawi się od czasu do czasu oddawaniem wystrzałów, których cel pozostaje mi nieznanym, które jednakże dotkliwie zakłócają mój nocny odpoczynek.

8 listopada, piątek. W Radzie Żołnierskiej meldują się wielokrotnie byli oficerowie austriacy, którzy najpierw przeszli do Polaków, a teraz, ze względu na nowe stosunki, szukają znowu związku z nami [...].

Miasto ma swój normalny wyład, jest jednakże bardzo spokojnie. Niezdecydowanie widocznie nie dowierzają jeszcze nowym stosunkom. Przy marzu dzisiejszego transportu do kolei wydarzył się nieprzyjemny incydent. [...] Aby nie powtórzyły się takie wypadki, zdecydowałem się pójść jeszcze raz do ppłk Rydza - Smigły. Tym razem miałem szczęście i zostałem dopuszczony. Rydz - Smigły - tymczasem awansował na generała - jest młodym, sympatycznym człowiekiem o energicznych ryzach i pewnym sobie postępowaniu. Był dość uprzejmy, aby okazać zrozumienie dla naszej sytuacji i udzielił natychmiast pomocy [...].

9 listopada, sobota. Obraz miasta jest nieco żywszy, odezwany (rzędu Daszyńskiego - J.L.) zostały chciwie przyczyszczone, liczba aut z czerwonymi sztandarami i uzbrojonymi pasażerami zwiększyła się nieco. Nowi są specjaliści tawarzysze na koniach, którzy widocznie pełnią służbę ordynansów. Milicja miejska w swoich schludnych niebieskich mundurach z czerwonymi wyłogami odcina się korzystnie od innych zbrojnych, których wszędzie widać.

Zmiana „prawnopaństwowych” stosunków zmusza mnie do nowego wystąpienia o ochronę Austriaków.

Do tego celu wydaje mi się najodpowiedniejsza wizyta u nowego szefa gabinetu, który zajął biuro Lipoścaka. Poszedłem o wpół do dwunastej do budynku gubernatorstwa i wcisnąłem się aż do dawnego pokoju adiutantów. Zastaliśmy tam dwóch sekretarzy Daszyńskiego, zgiętych nad biurkiem, żywo piszących i palących niezliczone ilości papierosów, obok mnóstwo różnych ludzi, skrętnie notujących, przyjmujących rozkazy, przynoszących wiadomości. Mój mundur, mimo przewrotów, nie stracił znaczenia, toteż mogłem dotrzeć do jednego z sekretarzy i prosić o audiencję u premiera. Zostałem zaanonsonowany i zaproszony do zajęcia miejsca. Po pewnym czasie zostałem wpuszczony. Daszyński, z którym spotkałem się pierwszy raz, przyjął mnie dość chłodno [...] i zapytał mnie o moje żądania. [...] Przerzekł nam również wolny odjazd i zabranie pakunków bez dalszej rewizji, polecił mi jednakże, wskazując na sąsiedni pokój, udać się do „ministra wojny” (Rydz) i zaopatrzyć się w paszport, „ponieważ czas do 12 listopada będą bardzo niepewne”. O wyjaśnienie końcowego zdania nie mogłem już prosić, ponieważ Daszyński bardzo się spieszył i musiałem się wycofać.

Ostatecznie, 11 listopada Hausner, wraz z pozostałą, niewielką już grupą Niemców austriackich opuścił Lublin by w czwartek, 14 listopada, dotrzeć do Wiednia. W tym samym dniu, 11 listopada, Daszyński i Rydz-Smigły wyjechali z Lublina do Warszawy, do której dzień wcześniej przybył, zwolniony z Magdeburga, Piłsudski. 18 listopada Piłsudski powołał w Warszawie nowy Tymczasowy Rząd Ludowy na czele z Jędrzejem Moraczewskim. Burzliwy stołeczny epizod w dziejach Lublina skończył się.

**Jan Lewandowski**

Która Liceum Technik Plastycznych skończyła w Bielsku - Białej.

Inna sprawa, że w Puławach „Absolwent” pełni jeszcze drugą i wcale nie prywatną funkcję, którą z czystym sumieniem wypada mi zaakceptować. O-  
tóż grupa, wspomniana przez zaprzyjanych ludzi - poetów, członków Foto-klubu PDK - urządziła kilka imprez, które poruszyły co bardziej kulturalne środowisko miasta, bo podniosły np. tak ważną w Puławach kwestię ochrony środowiska naturalnego...

Więc umawiam się z „Absolwentem” na następne spotkanie, ponieważ, jak trafnie określił Bohdan Zadura, członkowie grupy „To co robią, robią z sercem i cieszy ich to, co robią; niezmiernie to sympatyczne i powiedzialbym krzepiące”.

wiedzy, ośrodka kultury. Rozumiejąc nawet, że każdy żołnierz nosi buławę marszałkowską w tornistrze, nie jestem w stanie akceptować wywijania ową buławą, która okazuje się zwyczajnym tłuczkiem do kartofli.

Niedawno spotkałem się jednak z grupą puławską „Absolwent” i przypuszczam, że na tym pierwszym kontakcie się nie skończy. Czy zdecydowała o tym przeświadczeniu kolejna wystawa grupy w Puławskim Ośrodku Kultury? Chyba nie, bo pokazane na niej prace w jakiś zdecydowany sposób nie odbiegały od tych, które widziałem poprzednio. Zdecydowała o tym rozmowa z „absolwentami”, którzy licea plastyczne ukończyli dość dawno, minimum dziesięć lat temu. No i dzięki tej naszej swobodnej pogadusze przekonałem się, że mam do czynienia z ludźmi bezpretensjonalnymi, którzy uwikłani w normalne, ludzkie kłopoty

dnia codziennego, chcą zrobić coś więcej, chcą przekraczać banalny status wyznaczony im - jak nam wszystkim - przez tzw. byt, etat, małżeństwo, potomstwo, epidemie grypy czy początki reumatyzmu. Nie traktując swojego działania jako posłannictwa, jawnie odżegnując się ambicji profesjonalnych - „absolwenci” nie kryją przecież, że pragną pracować coraz lepiej, że coś z tej ich aktywności, zainicjowanej w 1975 roku, może i wyjdzie cennego.

„Przed przystąpieniem do malowania kolejnego obrazu zawsze mam nadzieję, że stworzę dzieło, pan rozumie: dzieło. Nie wychodzi, więc maluję następny obraz. Dlatego w tym moim malarstwie tyle narracji, symboli i opowieści? Bo ja jestem po prostu gadatliwa i korzystam z okazji, jaką daje obraz, żeby się wygadać” - stwierdza wprost Maria Kapturkiewicz-Szew-

**B**IALA mgła dąliła miasto jak welon, a w nie wesele, lecz jesień, wialec. W starej „Najle” „Pod wianem” urządzono bar włoski. Nazwa istoty nie była. Ci sami by...cy wódkę piją, piwem czekają. Jak widać, przyzwyczajenie jest natura, choćby aktorowi nałożyć cyjinder, a bufet knajpy wystylizować, na okręt.

Każa miejska okazała się złotą kulą, choć z uporem absurdalne wyjechała. Parę lat temu przy placu wiodący był trawnik. Przyjechały maszyny, trawę zdąży. Ludzie ułożyli ozdobne płyty, parking w pobliżu nali targowej, był bardzo potężony. Lecz czy tak stabilizacji jest oznaką dynamiki przemian? Przyjechały inne maszyny, płyty zdążyły. Na wiosnę znowu będzie zielono. Już jest zielono. W gowach odpowiedzialnych. Czyje to głowy?

Rzeszów czasem dusi się we własny, a soje jak kura w garnku. To znowu rośnie na nim szalony grzyb wybuchającej ambicji. Dzwia się ludzie, czemu nie budują tu właśnie gmachów ONZ-est. Nad ludzi przeladała się bowiem szylid, gmachy, instytucje - My tu wszystko mamy - powada prowincjonalny myśliciel. I widać na głowę weinflana skarpetkę. Przepraszam - czapkę. Jak chorągiewki na dachach zmieniają się trenerzy rzeszowskiej, niegdys dobrej drużyny piłkarskiej. Tak marnowała się „Sial”.

W kulturze rok cały wiry, plotki, piana. A tu uczta. XVII Rzeszowskie Spotkania Teatralne udały się nad podziw. Takie spektakle jak „Kubus fatalista”, „Balajkin i spółka” czy „Emigranci” to specjalny Zapsawicz i Czechowicz dali popis sztuce aktorskiej, jaki obecny jest, a może i niemiły, rzeszowskim aktorom. Teatralna jesień stała się popularna. Tlum przy kasie. Brak bileów. Dostawiane krzesła. Miasto teatrem żyło. Ludzie patrzyli, dyskutowali, bili brawo jak szaleni. Okazało się, że Rzeszów kocha teatr, tyle, że dobry.

Estrada rzeszowska też zrobiła swą jesień. I zawołała nawet „Hallo Paris”. Ale i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Reklama, plakaty, bilety. I okropni konferansjerzy. Jak szarańcza spadają ostatnio na miasto kiepscy uczniowie marnych wzorów. Dwojcy wulgarnie, maniery marne. Prezentują świat oglądany w kinach pornograficznych. Seks anatomiczny, smutny, nudny mechaniczny. Smutne panie i panowie konferansjerzy, a kysz! Dyrektor Chorągiewki beczkę rozrywki do miasta przytargał. Jeszcze tylko zdmuchnąć pianę konferansjerki i można bić brawo.

Samolot na niebie jak srebrna szpilka. Odkurzacz warczy na podłodze. Widokówki rzeszowskiego przemysłu. Będą nowe. Miasto rosną dwie naraz fabryki srebra. Samowary, lichtarzy, półniski, cukiernice, patery - zastawa wszelka - jeszcze w tym roku ruszy produkcja. Będzie na co pieniądże wydawać. Trochę szkodliwych oparów w powietrzu przybędzie. Mieszkańcy dzielnicy Nowe Miasto nie są zachwyceni. Nie wszystko srebro co się świeci. Decyzje zapadły. W filtrach nadzieja. Czyim nasze płuca będą oddychały? Poczekamy, poodychamy.

Mgla nie welon, zima nie wesele. Życie trzeba w takiej beczce, do jakiej się wlało - to wniosek z Diogenesa. Przez Rzeszów przeszła burza atrakcji, a ostatnio cyrk przyjechał. Ruszyła zwykła rzeka melancholii. Balajkinom tu dobrze, usmiechnięci śpiewają „jeszcze kura w garnku”. Kupują żonom srebrne lisy.

Wrażliwym - gorzko, a tu jeszcze aktor Machulski zadawał drażliwe pytania. Co to takiego ta moralność naszej technicznej cywilizacji. Burza myśli. Żywe reakcje. Aktorzy i widzowie wspaniali. Płynie rzeka piwa z browaru w Leżajsku. Może ilość przemieni się w jakość?



**P**EWNEGO dnia wzięła kilka rolek toaletowego papieru, farby, klej i nożyczki i zrobiła sobie ogromne, czerwone serce na całą ścianę. Wysłała je ładnie, bo od razu było karbowane. Powiesiła to serce w pokoju tylko dla ozdoby. Ale teraz zastanawia się, bo ono w zasadzie coś symbolizuje. I mówi, że sama nie wie, dlaczego je zrobiła.

— Raczej kojarzę to z dziecinadą — dodaje — bo kiedyś rysowała się przebite serca na ławkach. Ale to mała dziewczynka rysowała „zawiedzenia”.

U góry serca wysuwa się z karbowanej czerwieni głowa węży. Tylko głowa. U dołu kobieta klęcząca, a wąż jakby chciał ją swoim jadem usmiercić. Ona jest naga, a przez nagosć bezsilna. To oznacza według niej, że w każdej sytuacji kobieta musi ulec, więc dlatego zrobiła tę postać klęczącą i z opuszczoną głową.

— Mnie się to może na ścianie podobać — wyjaśnia — ale ja jako kobieta nigdy bym się nie poniżyła, żebym była bezbronna. Wpadł mi, że kobieta powinna w pewnych momentach ulec, w sobie przeboleć, okazać skruchę i że wtedy dopiero jest małżeństwo.

Więc gdy się zastanawia, myśli, że może jej małżeństwo się rozpadło, bo musiała wbrew oczywistości sama sobie odmawiać racji. I teraz wszystko chce robić sama. Sama więc pomaluje mieszkanie na biało. Czerwone serce oczywiście zostanie.

Mieszkanie dostali duże, kilkupokojowe. To był prezent ślubny od jej ojca. Ale w mieszkaniu nie ma telefonu. Więc kiedy poszła do pracy jako telefonistka w firmie, taką miała manię, żeby dzwonić do każdego, kogo numer pamiętała.

Kiedyś wynikła z mężem głupią sytuacją, było jej źle i chciała porozmawiać z kimkolwiek. Zadzwończyła do znajomego, już dawno go nie widziała, a on od razu: Marysiu, to ty? Powiedziała, że nie. Odłożyła słuchawkę. „Nie chciałam, żeby mnie poznał, musiałam porozmawiać z kimkolwiek a nie akurat z nim.” Zdziwiło ją wtedy, że tak można rozpoznać człowieka po głosie, ale już się nie dziwi.

— Na przykład głos szefa znam od a do z, w noy o północy na odległość go wyczuje. Przez to o malowos nie wpakowałam się kiedyś w aferę, bo szef kręcił z panią S. z firmy. Któregoś dnia ktoś dzwonił z miasta. Poznałam głos szefa, ale on nie przedstawił się, więc coś mnie tknęło, żeby nie powiedzieć „panie dyrektorze”. I słysze w słuchawce: „Mówi małżonko pani S. Czy mogę mówić z żoną?” Zdebiłam. Później drugi telefon. Też głos szefa, ale miłutki, cieniutki zmieniony. „Proszę pani — mówi — dzwoni brat pani S.” Znowu zdebiłam. A druga telefonistka, co siedziała obok, patrzy na moją minę i pyta: „Co? Dyrektor dzwonił? Za kogo się podawał?” To już wiedziałam, że i ona wie. Bo w każdej firmie najwięcej wiedzą telefonistki.

Jej się nierzaz wydaje, że cała firma jest uzależniona od telefonistek. A jak która pracuje dłużej, to jest darzona dużym zaufaniem. Któregoś razu zastępca szefa „urwał się” wcześniej z pracy i mówi jej, że jakby naczelny go szukał, to

on jest pod tym numerem i daje karteczkę. A jakby nie było — zniszczyć. Pomyślała sobie: niech idzie z Bogiem. Na drugi dzień to samo. Ona mówi: panie dyrektorze, ale ten numerek wyrzuciłam. Obiecał znowu napisać, ale wychodząc zapomniał. I trzeba trafić, że nie minęło pół godziny, a naczelny szuka zastępcy. Wiem, że trzeba dzwonić, ale nie mam numeru. A jest u nas duży kosz na śmieci. Pełno w nim było i musiałam cały wyrwalić i wreszcie jest! Taki mały karteluszek. Ochłonęłam. Dzwonię. Zgłasza się nie mieszkanie, ale firma. Okazało się, że zastępca złapał dodatkowe godziny. No i udało się, zdążył wrócić. Nie mógł mi potem podziękować.

— Dzień pracy zaczyna się od kawy i papierosa. Przyjdę o ósmej

nie byłoby źle. Gdyby trochę więcej tolerancji mieli oboje dla siebie...

— Muszę pracować — mówi. — Będę miała satysfakcję z tego. A jakie już miałam momenty załamania się. Na przykład kłopoty z oddaniem dziecka do przedszkola tygodniowego. Nie mamy jeszcze rozkwasu i nie było podstaw do przyjęcia dziecka, bo nie jestem prawnie jedyną żywicielką rodziny, ale już jestem uszczęśliwiona, bo udało się załatwić.

To jedyne rozwiązanie. Matka jeszcze pracuje i dzieckiem się nie zajmie. A coż to za opieka brać dziecko do pracy? Zrobiło jej się wprawdzie przykro, bo sobie skojarzyła, że dziecko już nie ma ojca, a teraz nie będzie mieć przez tydzień matki. Chodziła jak bledna.

przychodzi, to pyta telefonistkę przede wszystkim, czy szef w dobrym humorze. A sam naczelny jak się zmienił? Kiedy był zastępcą, postępował jak i inni — wcześniej wychodził, urywał się, robił wszystko aby szybciej. A teraz zupełnie inaczej: siedzi i pilnuje do końca, teraz firma najważniejsza, nawet nieraz szuka dziury w całym.

— Jak tak sobie myślę psychologicznie — mówi — że jednak telefonistki wiedzą najwięcej. Podśluchiwać trudno, bo jak się podnosi dzwignik, to skrzeczy i skrzypi w słuchawce i jeśli ktoś się zna, to pozna, że jest na podsłuchu. Więc wcale nie chodzi o podsłuch. Tego się raczej nie robi, najwyżej z nudów po południu, ale to musi być interesująca rozmowa.

Do hotelu przyjeżdżali kiedyś goście na kurs. Z różnych stron kraju byli i oczywiście szukali kontaktów w mieście. Potem dzwoniły różne panie i prosiły profesora takiego a takiego. A ja wiedziałam, że on jest kursantem a nie profesorem. I w końcu się zdenerwowałam i powiedziałam jednej, że to nie profesor i przestała dzwonić. Do innego znowu jakaś mała dziewczynka dzwoniła i chciała koniecznie umawiać, on tłumaczył, że nie, że jedzie do żony dziś wieczorem. A gdy nie pomogło, mówił, że ma wszystko uprane i suszy. To ona powiedziała, że będzie czekać na dworcu. Taka nachalna. Ale już oczywiście nie mogłam sprawdzić, czy była na dworcu faktycznie. W ogóle głupia mentalność jest ludzi — podsumowuję.

Chciałaby się wzorować na innych ludziach. Nie na takich prostych, co to tylko dom lub wypicie. Innych ludzi kiedyś znała, ale męża nie interesowała jej znajomy i skończyło się. Podobnie jak malowanie.

— Kiedyś miałam przed oczyma świat kolorowy — mówi.

A teraz może znowu nastawi się tylko na malowanie. Chciałabym jeździć w plener, gdzieś wyjeżdżać, nawet jeśli był tam nie było nic, to właśnie żeby namalować to nic.

Nie tak malować, jak kiedyś, gdy mały wyczuł, że jej obrazy można dobrze sprzedać. Słoneczniki, czy chatkę wiejską to już rysowała od jednego pociągnięcia pędzla. Jeśli teraz malarsko, to tylko dla siebie. A wtedy się zgodziła.

— Bo przecież, Boże, co się dla męża nie da namalować — wspomina. — To czy tamto, zamek, Stare Miasto. Ale jak człowiek nie wie co ja czuję wewnątrz, to co on może mówić — jest rozgoryczona — Sama z siebie tworzę a on się nie znał na malarstwie. On musiał mieć kawę na ławę — kwiatek to kwiatek, trawka bez plamki. A coś takiego zmyślonego, to gdzie tam!

— A ja myślę — mówi zdecydowanie — że muszę pracować, godzić jedno z drugim, bo do niczego nie dojdę. Kiedyś będę miała satysfakcję, że wszystko zrobiłam sama, chociaż jestem taka mikra. Do tej pory miałam szczęście do wszystkiego, a przez ostatnie pół roku kłótnie z mężem, później rozstanie. Zastanawiam się — zastanawia się — dlaczego kiedyś było łatwo. Może mniejsze problemy były?

Ostatnio taka jest rozmarzona, więc myśli, że musi odpocząć. Ale jeszcze nie wie, co będzie robiła.

# Przed oczyma świat kolorowy

Bronisław Kowalski

co ja robię? Zanim się rozdzwonią, nie, bo to w końcu nieduża centralka. Tylko mnie denerwuje, że szefowi można rozmawiać nawet pół godziny, a wisi ogłoszenie, że innym wolno mówić tylko piętnaście minut. Jak szef chce telefonować, to żeby się paliło, waliło, trzeba przerwać rozmowę.

Kiedy myśli o swojej pracy, przypomina jej się film, w którym widziała pisarza uciekającego do samotni. Pisarze wyjeżdżają gdzieś daleko i albo mają dzieci, że piszą, albo nie. Czasem długo nie piszą. Wtedy siedzą, albo łowią ryby, albo chodzą po lesie. Potem znowu piszą.

I ona się zastanawia tylko, czy im placą za ten czas, kiedy nie nie robią. W jej wypadku jest tak, że ona musi pracować. A tak w ogóle to by się zajęła czymś innym.

Przez ostatni czas myśli, że chciałaby mieć grubą forszę. Żeby zrobić pieniądze i żyć na własną rękę, żeby nikt nią nie rządził. Ale musi mieć ubezpieczenie dla dziecka.

A zapowiadało się, gdy wychodziła za męża, że nie będzie musiała pracować. Ze będzie miała dużo czasu dla siebie, że będzie mogła malować. Okazało się, że jednak nie zależy od samej siebie. Tylko znowu z drugiej strony przecież naprawdę

— Lecz coż ja bym mogła poradzić — mówi — skoro nie stać mnie na niankę?

A teraz może do dziecka zadzwonić w każdej chwili. I ono chętnie z nią rozmawia. A potem mówi sobie: cześć, i widać, że mała dobrze się czuje w przedszkolu.

Nie dąży do tego żeby mieć kogoś innego. A jak ktoś chce się z nią umówić, to ją drażni, ale obraca to w żart. Kiedyś jeden z firmy powiedział nawet proponując spotkanie, że ma samochód, a ona mu odpaliła, że ma hulajnogę. Wyrobiła sobie metodę: „W pracy się nie zwierzam bo mi się wydaje, że jakby się dowiedzieli, że nie żyję z mężem, to już by chcieli do łóżka brać”.

Zreszta po co się zwierzać, skoro widzi, jakie to są zwierzenia tych ludzi. Normalnie przychodzą pracownicy i opowiadają kawały na szefów. Na przykład ktoś pyta, czy ona wie, jak ostatnio mówią na naczelnego? A ona sobie myśli, że nawet jeśli wie, to nie powie, bo może tamten podkabluje? Przyjdzie jeden i opowiada różne rzeczy na drugiego, a przed chwilą był tamten i nagadał na niego. Śmiejesz się, niby ale to przecież nie śmieszne wcale.

Centralka jest na uboczu życia w firmie, ale stąd dużo widać. Gdy ktoś

cząc szuka sposobu opisu tej nowej formy, która, obojętna wobec toczących się sporów, wyrosła i zadomowiła się w pół drogi między teatrem lalkowym i aktorским

Ilustracją owej „nowej formy” niech będzie choćby ubiegłoroczne przedstawienie „Małego księcia” w Teatrze Lalki i Aktora (nomen omen!) im. H. Ch. Andersena w Lublinie, a ostatnio — „Calineczka” wystawiona w tym teatrze.

Znana wszystkim baśń wielkiego duńskiego pisarza, nasycona poezją opowieść o dziewczynce zrodzonej z kwiatu o jej niezwykłych przygodach wśród żab, motyli, myszy i kretów, o przyjaźni z uratowaną przez siebie jaskółką i wspólnym odlocie do ciepłych krajów — ta baśń doskonale nadaje się do uprawiania tutaj przez Włodzimierza Felenczaka teatru poetyckiej metafory. Akcja dziejąca się w wielu miejscach i w dużej rozpiętości czasowej, mnogość zdarzeń i postaci w tej poetyckiej, ale zarazem sul generacji sensacyjnej opowieści wymaga od inscenizatora niemałego kunsztu i pomysłowości i właśnie dlatego w „Calineczce” można sobie śmiało pozwolić na poszerzenie wódz scenograficznej fantazji i na mnogość form scenicznych.

„Calineczka” przypotymano w lubelskim teatrze z myśla o najmłodszych widzach. Pewnie dlatego szczególnie duży nacisk położono na kształt plastyczny przedstawienia, mniemam na warstwie słowna. Decydującą tu rolę w tym przedstawieniu odegrała nie sama „Calineczka” (znowy! Proszę pamiętać, że „Calineczka” to baśń, a nie sztuka), ale przede wszystkim wyjątkowo dobrze i doświadczona aktorka — interpretu-

Reżyser, Stefan Pultorak, doskonale radził sobie z częstymi „plastycznymi, intermediami” — piąkami ryb czy ptaków, napełnionymi balonami, elfów; wszystko przy dźwiękach bardzo dobrze utrafionej w sens tego, co się dzieje na scenie muzyki Sławomira Czarneckiego. Wielkie brawa należą się twórcom scenografii i kostiumów — Joannie Jaworskiej i Jerzemu Rudzkiemu. Pomijając już samą wyobraźnię plastyczną, zaaranżowanie sceny, umiejętność nadania nowoczesnego kształtu plastycznemu tym wszystkim wiele „tradycyjnym” baśniowym stworom uderza u obojga autorów kapitalne wyczucie tworzywa: tkanin, plastiku itp. z takich tworzą lalki, kostiumy i dekoracje. Najmniej podobna mi się sama „Calineczka” — lalka jakby z zupełnie innej sztuki, z innego pomysłu plastycznego, przypominająca na dodatek uparcie małego, różowego pudełka.

Natomiast — jak się już rzekło — wszystkie inne stworzy: ryby, ptaki, elfy — kapitalnie! To samo tworzy się kostiumów żab, myszy, kreta, pod którymi kryją się żywi aktorzy.

Patna poezji jest pierwszą częścią przedstawienia rozstrzygająca się w baśniowym plenerze. Część druga, w norze Myszy, rozgrywana jest w konwencji realistyczno-groteskowo-satyrycznej, tutaj dużo uznania należy się Marii Perkowski za pomysłowe zbudowanie tej postaci, klase gry „w tym samym planie”. Zastrzeżenia natomiast wzbudziła we mnie sama „Calineczka” (znowy! Proszę pamiętać, że „Calineczka” to baśń, a nie sztuka), ale przede wszystkim wyjątkowo dobrze i doświadczona aktorka — interpretu-

je tę postać w konwencji kochanej, dobrej i grzecznej, choć troszeczkę jakby rozkapryszony dzieciny. A to odbija się niekorzystnie na poetyckim kształcie i samej baśni i całego lubelskiego przedstawienia. Inna sprawa, że trochę w tym winy również — tak bardzo odstających od atmosfery reszty spektaklu — scen w norach Myszy i Kreta. Jeżeli już dalek szukać mankamentów to trzeba by zwrócić uwagę na fakt imania się scenicznej dramaturgii w ostatniej (choć bardzo dobrej scenograficznie) scenie z udziałem elfów.

Ale to już są wzmwyśły czterdziestoletniego widza, któremu to czy tamto „przemawia do przytomności” a ostatnio „nie w śnie”. Dzieci bawią się na „Calineczce” doskonale.

md

Państwowy Teatr Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena w Lublinie: „Calineczka” H. Ch. Andersena. Przekład: — Stefania Bestin, Jarosław Iwaszkiewicz. Adaptacja — Jadwiga Jasny. Reżyseria — Jerzy Pultorak. Scenografia — Joanna Jaworska, Jerzy Rudzki. Muzyka — Sławomir Czarnecki. Asystent reżysera — Wanda Wilhelmi. Obsada: Calineczka — Alina Sternik, Motyl — Andrzej Józwicki, Svn żab — Janusz Elifowski, Chrabaszcz — Kamilierz Lutowski, Kret — Janusz Elifowski, Mysz — Maria Perkowska, Jaskółka — Wanda Wilhelmi, Król Elfów — Andrzej Józwicki, Chrabaszcz — Zofia Jankła — Tosi Maria Perkowska, Żaba — H. Ch. Andersena.

Premiera — 29 października 1958 r.

## „CALINECZKA”

**W** PAŹDZIERNIKOWYM numerze „Sceny” Teresa Ogrodzińska zamieszcza artykuł „Polaka choroba czy nowa forma”. Snując w nim rozważania na temat ostatniego VIII Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Lalek w Bielsku-Białej podkreśla m. in. paradoks, który w bielskim spotkaniu dopadł naszych lalkarzy”. Chodzi o sprawę współwystępowania na scenie aktora i lalki, a trwającą od pewnego czasu w teatrze lalkowym w Polsce „modę” — jak to określili zwolennicy przedstawień zdecydowanie lalkowych. Ukuto nawet w tym względzie złośliwy termin: „polska choroba”. Tymczasem — stwierdza autorka tak dowódcę festiwal, choroba rozrosła się smętna i nabrała rumie. W. Zarazła Czechów i Rosjan, t.j. i na dobre rozpanoszyła się w spektaklach twórców, których nie można podziwiać o brak artystycznej świadomości. Sądze że najbliższy czas, by przestać mówić o „modzie”, a za-

Kamena str. 6



# ŻRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

LISTOPAD 1978

## Rozmyślania o młodej prozie

Krzysztof Pysiak

**N**A te charakteryzujące nasze życie kulturalne i postępujące w ostatnich latach procesy zanikania krytyki literackiej, a zwłaszcza tego jej rodzaju, który towarzyszy literaturze i na bieżąco ją ocenia, interpretuje czy hierarchizuje, zadziwiająco przedstawia się stosunek krytyki do młodej prozy. Brakuje wybitnych krytyków, „ludzi — instytucji”, na których opinie czekają czytelnicy po ukazaniu się nowego utworu poczytnego autora, a młoda proza natychmiast zdobyła sobie cały zastęp wiernych krytyków, jak również pełnych jadu zółców. W obydwu rolach występują przeważnie rówieśnicy początkujących prozaików, którzy skrzętnie odnotowują każdą nową pozycję. Brakuje sporów toczonych wokół istotnych dzieł uznanych pisarzy — o młodej prozie dyskutuje się bezustannie i namiętnie w radio, tygodnikach i miesięcznikach. Nazwisko Andermana, autora kilkunastu książek i równie niewielkiego utworu opublikowanego w niskonakładowym miesięczniku, można znaleźć w prasie literackiej niemal tak często, jak nazwisko Iwaszkiewicza. Powieść Kirscha recenzowały niemal wszystkie pisma literackie w kraju, choć niektóre tylko zauważają nowe książki Buczkowskiego czy Krzysztonia.

Jakie są przyczyny takiej sytuacji i czy jest ona zjawiskiem pozytywnym? Odpowiedź na pierwszą część tak postawionego pytania wyjaśni — jak myślę — również źródła niektórych postulatów zgłaszanych przez krytykę pod adresem młodej prozy.

Przed wszystkim — i jest to odpowiedź najprostsza — o młodej prozie wypowiadają się w recenzjach, szkicach czy dyskusjach ludzie młodzi, adepci krytyki, którym żywiołowy wybuch nowej powieści stworzył szansę szybkiej i zauważalnej inicjacji pisarskiej na łamach liczących się czasopism. Ta fala paru starszych roczników polonistów, które czytają utwory swych rówieśników czy nieco starszych kolegów z generacyjnym poczuciem wspólnoty, zrozumieniem intencji, pragnieniem weryfikacji własnych przemyśleń i wreszcie z czystej ochoty, a nie zmuszonego, recenzentkiego obowiązku, odkryła w młodej prozie swój temat. Gdyby tego tematu nie było, ci młodzi ludzie i tak weszliby gromadnie do krytyki, pisząc — być może — właśnie o Buczkowskim czy Krzysztoniu.

Ich pisarska aktywność i milczenie starszych krytyków potwierdzają pewien mechanizm funkcjonujący obecnie w polskim życiu literackim. Otóż uprawianie krytyki, a może i literatury tak zwanej pięknej, przestało być celem, a stało się środkiem do osiągnięcia celów pozaliterackich. Student polonistyki pisze recenzje, aby jego nazwisko zostało zauważone, bo to z kolei ułatwi mu otrzymanie etatu na uczelni. A młody prozaik też może pisać już z ukrytą intencją: chciałby otrzymać propozycję zrobienia scenariusza dla filmu czy telewizji. Taka jest rzeczywistość, z której krytyka wyrasta.

Równocześnie krytyka ta wciąż żyje złudzeniami, wciąż żąda od literatury realizacji iście romantycznego programu. Z każdą kolejną pokoleniową reprezentacją literacką wiąże się te ludzkie nadzieje — może to oni wreszcie zrozumieją literaturę jako pole działań kreatywnych o wielkim wpływie i znaczeniu społecznym, stworzą wzorce i modele życia, spróbują przemówić do współczesnych w tym języku publicznej troski dotyczącym dylematów i kwestii dotyczących samej istoty bytu narodowego, którym posługiwali się romantycy.

Te nadzieje tym razem zwróciły się w kierunku młodej prozy. I stąd bierze się — ta druga, szersza wersja odpowiedzi na postawione wyżej pytanie — ogromne skupienie uwagi krytyków na najnowszej powieści. Jeśli przyjąć tę odpowiedź, to oczywiście zjawisko głośniego odzewu krytyki na propozycje młodych prozaików jest oznaką — jak najbardziej pozytywną — świadcząca o wciąż nie wygasłym, ciągle żywym postulatcie żądającym od literatury kreowania duchowego życia narodu. I nie chodzi o to, czy jest to i jak jest możliwe. Chodzi o przykładanie do literatury miar najwyższych i stawianie jej najwyższych wymogów.

Zaprezentowane tutaj rozumowanie wymaga pewnej poprawki. Otóż, gdy mowa o młodej prozie, jej obowiązkach i wysuwanych pod jej adresem postulatów, nikt z myślących realistycznie krytyków nie próbuje jej weryfikować czy oceniać przy pomocy romantycznych założeń i realizacji. Jako sprawdzian jej wartości, zasadniczy punkt odniesienia, występuje znacznie bliższa tradycja, przynajmniej się zrosła w deklaracjach jej przedstawicieli do romantycznych konsekwencji, a mianowicie Nowa Fala. Trzeba nawet rzecz bliżej sprecyzować: prze-

ważnie ogląda się dokonania młodych prozaików poprzez zespół dyrektyw i wymagań sformułowanych przez autorów „Świata nie przedstawionego”.

Coraz częściej wydaje mi się jednak, że jest to opaczna optyka dla zrozumienia młodej prozy. Aby sąd ten dookreślić potrzeba kilku wyjaśnień elementarnych. Za epicentrum młodej prozy uważa się wielki boom tytułowy stanowiący przede wszystkim plon Czytełnikowskiego konkursu na debiut prozatorski. Miał on miejsce w latach 1976—77 i spowodował — jak sądzę — zrównanie podaży z popytem. Uciechły głosy na temat braku debiutów, ci zaś, którzy najczęściej ów temat poruszali, w ogóle jakby nowych książek nie zauważali. Bogactwo tytułów, nowych nazwisk, różnorodność propozycji artystycznych, różnorodność konwencji, jakimi posłużyli się debiutanci — to wszystko zaskoczyło krytyków. Potem zaś — o czym była mowa wyżej — młoda proza zdobyła własną krytykę. Nie zapominajmy jednak, że książki Janusza Andermana, Marka Sołtysika, Donata Kirscha czy Marka Pąkińskiego poprzedziło kilka wcześniejszych debiutów, których autorów nie sposób tu pominąć. Myślę przede wszystkim o Józefie Lozińskim, którego powieść „Chłopacka wysokość” ukazała się już w 1972 roku, myślę również o pierwszej książce Jerzego Zurka („Kurz” — 1970). Obok zaś chcę wymienić dwie powieści, również poprzedzające wielki wybuch z lat 76—77, których autorami byli protagości Nowej Fali, poeci i autorzy manifestu „Świat nie przedstawiony”. Ukazały się one — „Ciepło, zimno” i „Kilka chwil” — w odstępie zaledwie kilku tygodni jesienią 1975 roku, tworząc swoisty prolog dla nieco tylko późniejszych książek składających się na wspomniany boom. Nie przeto dziwnego że to czasowe sąsiedztwo spowodowało, iż książki Zagajewskiego, Kornhausera i Andermana, Sołtysika czy Kirscha zaczęto mierzyć tą samą miarą, że twórczość tych ostatnich (jak i innych debiutantów lat 76—77) zobaczono pod znakami Nowej Fali i uznano za jej epicką, kolejną formację. Tę mylną klasyfikację dodatkowo pogłębiały liczne rzeczywiste związki i zgodności młodej prozy z programem Nowej Fali. Czyż zresztą ludzie o kilka lat zaledwie młodszy, a nieraz rówieśnicy poetów ją tworzących, żyjący w tych samych realiach społecznych i politycznych, odczuwający podobne emocje wynikające z podobnych sytuacji egzystencjalnych, mogli reagować zupełnie inaczej? Czy mogli pominąć doświadczenie poprzedników?

I tak faktograficzna „Zabawa w głuchy telefon” Andermana, wyrażająca fascynację rzeczywistością potocznego języka, a równocześnie obsesję wielkiego organizmu miejskiego porażającego jednostkę — odczytana została, i chyba słusznie, jako prozatorska realizacja nowofalowa. Nadrealistyczna i próbująca eksperymentować ze strukturami narracyjnymi książka Kirscha, czy moralizatorska, utrzymana w tonie groteski i napisana z niezwykłym, jak na debiutanta, talentem, powieść Sołtysika już tak klasyfikowane być nie mogły. Stanowiły bowiem propozycje nowe, oryginalne i odrębne. Każda z nich — tak samo, jak utwory Andrzeja Pastuszka, Marii Nurowskiej, Ziemowita Ogińskiego, Jeremiego Bożkowskiego, Andrzeja Turczyńskiego i kilku innych — pragnęła wyrazić własny świat, posługiwała się swoją metodą pisarską, samodzielnie poszukiwała tradycji i bliskich konwencji. Obok zainteresowania językiem, jego przekształcaniami i możliwościami, językiem stanowiącym medium przez które przemawia rzeczywistość, obok przetworzonej techniki dosłownego zapisu czy fascynacji konkretem pojawiła się wybujała dążność kreatywna, znajdująca ujście już to w kartkolejnych eksperymentach Kirscha, już to w mistrzowskich studiach dewiacji psychicznych Nurowskiej, już to w wysublimowanym i jakże literackim obrazku kulturowego pogranicza Turczyńskiego. Dominujący w młodej prozie temat dojrzewania młodego bohatera, wyprowadzony zapewne z autobiograficznych doświadczeń pisarzy, szczególnie często ukazujący moment inicjacji jednostki w życie dorosłej społeczności z jej grupowymi aberracjami, znalazły kilka ważnych i różnych rozwiązań w debiutach prozatorskich Zagajewskiego, Sołtysika, Lozińskiego. Ten swoisty autobiografizm, ukazanie doświadczeń o charakterze zbiorowym w obrębie jednostkowego losu, wydawał się — obok zainteresowania językiem — drugim wspólnym wyznacznikiem wielu utworów młodej prozy. Ponieważ jednak jest to temat na jedną, najwyżej dwie książki, młodzi pisarze szybko musieli znaleźć inne pojemne struktury fabularne. W rezultacie, wskazują na to drugie książki niektórych autorów. Poszukują oni swych własnych tematów i realizują je własnymi metodami.

W ten sposób zaciera się wspólnota generacyjna młodej prozy. Wielu z młodych autorów trafniej można ocenić i zrozumieć, wpisując ich dokonania w kontekst określonej tendencji artystycznej (np. utwory Marii Nurowskiej zaliczając do powieści psychologicznych a Andrzeja Turczyńskiego do bogato rozwiniętej powieści zainteresowanej kresami) — niż porównując z rówieśnikami.

**J**OZEF K. nie był urzędnikiem. Jego wielkie, pokryte słaściami wleczącego brudu łapy nie stworzone były po prostu do przeczucia z biurka na biurko jakichś tam szarobiałych niczym mózg Kinstajna — mąszynopisów. Wielką pasją Józefa K. był kamień. Nikt chyba nie znał jego przeszłości, nikt też poza garską snobów nie interesował się tymi wydartymi z zaświatów niesamowitymi rzezbami.

Wiedziałem o nim tyle tylko, co wyczytać się dało z kamienia, którego szczerą realność tak bardzo drażniła Józefa K. Wiedziałem o nim mało — prawie nic i w momencie, kiedy w sobotę wieczorem zaproponował mi po prostu wypicie dwóch setek, pomyślałem o nim tak właśnie, jak o kimś, kto poznał już prawdę, kto wykruszył w kamieniu ten swój osobisty, nadrealny labirynt i wie, że jedynym z niego wyjściem jest śmierć.

Siedzieliśmy w Śródmiejskiej rozgrzebiując w talerzach zbyt rzadki, brązowy bigos, kiedy rozpoczął nagle głosem łagodnie ochryplym:

— Sztuka, bracie, to nie tylko wychodzenie poza siebie. To wielki, bracie, exodus wyobraźni poza bramy świata. Jest to z pewnością o wiele trudniejsze niż realizm, bo tu nigdy nie wiesz właściwie, gdzie kończy się hochsztaplerka, a zaczyna prawda. Ten właśnie konflikt, bracie, jest stresem tego wszystkiego, co nas pcha ku śmierci...

Ugryzł szybko kawałek suchego chleba i za chwilę z pełnymi ustami podjął na nowo ożywiony i zaferowany:

## Proces

Krzysztof Paczuski

— Jest taka piękna, bracie, sprawa: życie to blaźskie pozowanie śmierci: znakomita historia, która chodzi mi po głowie już drugi rok, chociaż ciągle jakoś nie mogę z niej wszystkiego wydobyć. Piękna rzecz: życie, blaźskie pozowanie... — powtórzył zamysłony. — Co ja bym mógł, bracie, rzeźbić, gdybym ja siedział cały czas w tej prymitywnej teraźniejszości. Ja, bracie, jestem taki facet, że ja mam w dupie te wszystkie ziemskie problemy. Od trzech lat, bracie, procesuję się już przecież z właścicielem domu, w którym wynajmowałem kiedyś pracownię — i nic. A człowiek jest, bracie, niesamowity. Słyszałeś chyba o tej sprawie z „modelkami”. Takie facet jaja dał wtedy, że, bracie, nieprawdopodobnie. Przychodzi raz, bracie, dziewczyna, gdzieś tak na samą wiosnę, czy w czerwcu siedemdziesiątego trzeciego, a on, bracie, mówi do mnie... Aha, wcześniej jeszcze to kazał mi się dziać wynosić, bo mu rzekomo strych był potrzebny. Ale gdzie ja, bracie, miałem iść: kamień, bracie, pół tony... narzędzia, drabina, a stary, bracie, do mnie, że jak ja się nie wyprowadzę, to on milicję sprowadzi i zapoda, bracie, jak to było z tymi dziewczynami. O ty, skurczybyku — myślę sobie — toś ty, bracie, taka wredna świnią? Ja ci w drogę nie wchodzi, a ty mi tu takie bracie, te... Ale wiedzy jeszcze nie, grzecznie, spokojnie, że już, zaraz, bracie, tylko znajduję sobie inny lokal, a on też, że dobrze, że tam gdzieś za tydzień chce mieć wolny strych i bracie, tyle. Az tu nagle, bracie, przychodzi do mnie z meciem. Kto tam? Ki czort? Milicja, bracie, otwierać! To ja majtki na dupę, drzwi otwieram. A on wtedy na mnie, bracie, ten pan to łobuz, bracie, łajdacz się z modelkami, psa na mnie, bracie, napuszcza, żeby mi ogródek osrywał i takie, bracie, numery. Z tym psem to znowu inna historia. Kiedy ja już, bracie, pomiarkował, że dziadek mnie chce wykiwać...

Józef K. mówił długo, jak na spowiedzi, coraz głębiej i rzewniej przeżywając krzywdę artysty, którego włóczę po sądach, niszczą i poniewierają ludzie ograniczeni, którym się coś tam w jego twórczej fizjonomii i sposobie bycia nie spodobało i którzy pragną wręcz jego śmierci.

Od czasu do czasu Józef K. przerywał sobie przywołując którąś z kelnerek:

— Pani szefowo, jeszcze dwie pięćdziesiątki, prosimy.

Po czym ciągnął dalej tę zwyczajną, prymitywną opowieść tak realną i codzienną jak lity kamień z brudnej pracowni. Chciałem mu już parę razy przerwać, zmienić temat na ten najbardziej mnie dzisiaj interesujący — o sztuce, o nadrealizmie i o wielu, wielu jeszcze historiach, od których Józef K. uciekał nieświadomie w świat swych codziennych, śmiesznych wydawałoby się kłopotów — jednak nie udało mi się, byłem jeszcze za słaby, aby przyłączyć się do tej wewnętrznej walki, jaką prowadził Józef K. z owym dziwnym, chociaż tak przecież namacalnym światem otaczającym jego atletyczny korpus.

Zastanawiałem się jeszcze tylko, co mogło zmusić tego utalentowanego artystę do kapitulacji, co sprawiło, że nie znalazł w sobie ani krzty nadwrażliwości, aby wyobcować się ze społeczeństwa, uciec w zaświaty, popelnąć samobójstwo, czy... sam już nie wiem co jeszcze.

Odpowiedź na to pytanie nie jest wcale taka trudna i nasuwa się chyba bezpośrednio: po prostu Józef K. nie był urzędnikiem.



# SYTUACJE

## Widzieć

**K**IEDY nastąpił wybuch, zdążył zasłonić oczy. Zanim do reszty stracił przytomność, czuł, że wraz ze wszystkim, co go otacza, znieruchomiał w ogromnej ciszy ziemi i nieba.

W szpitalu z całą jasnością odtworzył w myśli to, co się stało, zrozumiał, co się dzieje obecnie. Poczuli na sobie oddech śmierci, otępiający stan niemocy i morderczą walkę, jaką staczał, żeby wydobyć się z odrętwienia. Jakies światło dręczyło go: gdzieś dalej był cień i coś się w nim poruszało, budząc w nim przeczuć, że powinien wytyczyć uwagę w tamtym kierunku. Porwane na strzępy dialogi dźwięczały mu w uszach:

— Gdy się obudzi, delikatnie uswiadomić, że nie będzie widział... Niech leży spokojnie i nie rusza się...

— Nie! Nieee... nie...  
Po chwili zaprzestał daremnie i brutalnego wysiłku, żeby zrozumieć, co się dzieje koło niego. Plakał i wzywał Boga. Plakał i prosił Boga, by zwrócił mu oczy. Przecież musi widzieć przyszłość.

## Odwiedziny

**D**WA lata temu. Tak, raz u niego... Było rano. Mgła opadła. Szedłem. Spowity przejrzystym i ostrym jak brzytwa powietrzem. Minąłem kościół, cień długiej alei, drzewa, drzewa i jaśmin. Szedłem, po obu stronach czerwone mury, potem wyrosły nad nimi kamienne krzyże i znów drzewa. Liście jak wycinanki, duże i kształtne.

Nierówności cementarnej alejki pelzły jak zaskrońce, zwiły się i prostowały pod moimi zmęczonymi nogami. Zdrowaśki tuliły się do bladych ust zasuszonej jak lupina ziemniaka staruszki. Zdrowaśki, łańcuchy zdrowasiek, modlitw za zmarłych... Ludzie strolili się jęklwie na ton swych pierś.

Dwa lata temu. Tak. Na pewno byłem raz u niego. Odwiedziny... Przeszło godzinę...

## Prelekcja

„Puscąjta! — skowyczał — Puscąjta go! Nie dom — Smarkaczu! wrzasnął Konstanty — Po pupie! (...) Po pupie dostaniesz smarkaczu!”

(„Ferdynand” — Witold Gombrowicz)

**A**TERAZ opowiem państwu tak na marginesie dzisiejszego wykładu pewną historię — powiedział prelegent:

— Od kiedy błąd, chorowity anioł stróż naszego czasu ustąpił miejsca diabłowi cieszącemu się z ludzkiego ichorzostwa...

— Mnie przy tym nie było! — głośno zastrzegł się młody człowiek gdzieś z końca sali.

— I tak panu nie wierzę! — odpowiedział młodemu starszy mężczyzna z pierwszych rzędów krzesel.

— Naprawdę przy tym nie byłem! — upierał się młody.

— Przyznaj im pan obu rację — powiedział do prelegenta milczący dotąd czarny mężczyzna siedzący z boku.

A teraz powiem państwu: TO JEST CAŁA HISTORIA.

## Anna z kabaretu „Marakeszo”

**A**NNA. Tancerka i piosenkarka z kabaretu „Marakeszo” wieczerem w charakterystycznym, przesyconym zapachem perfum i różowych puszków do pudru, wkłada suknię, przy mierza korale i uśmiech. Czuje na szyi i obnażonych piersiach chłód srebrzystomatowych kulek.

Jeśli jednak naszyjnik jest z pereł, to istnieje w jej wyobraźni. Lustro i ona stojąca przed nim są rzeczywistością.

Trudno zresztą powiedzieć, gdzie kończy się wyobraźnia i zaczyna rze-

Paweł Gembal

czywistość. Tak ciasno są ze sobą splecione. Wrosnięte jedna w drugą, jedna w drugą, jedna w drugą...

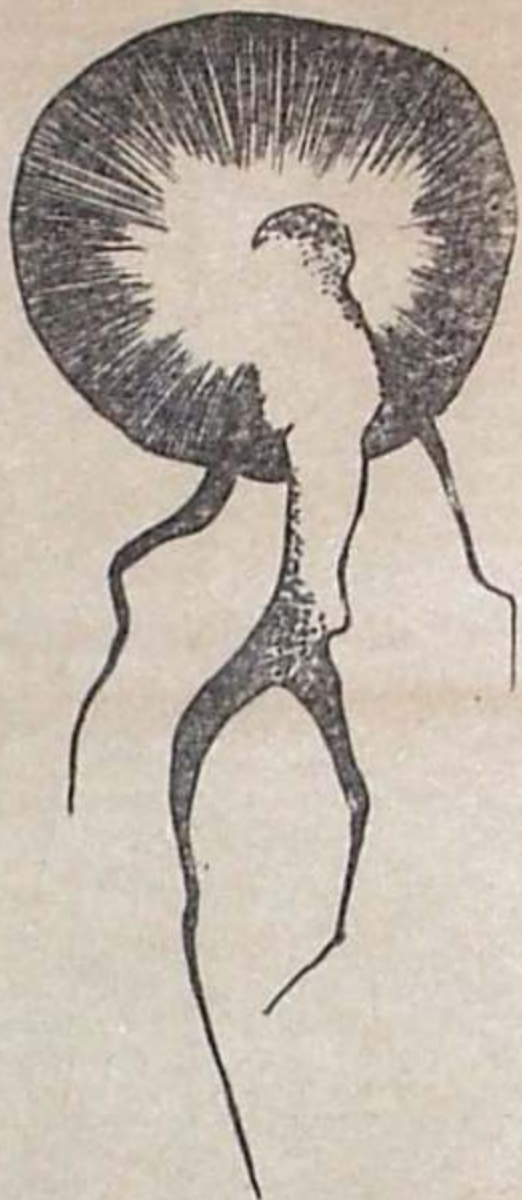
## Dziewczyna z plakatu

**P**RZYGLADAŁA mi się. Oczy błyszczały z ciekawości i kropie deszczu spływały po policzkach niczym prawdziwe łzy. Wszystkie sprawy utraciły dotychczasową wymowę. Od tej chwili mogły mieć tylko taki sens, jaki ona zechce im nadać.

Nie stawiałem pytań. Jednak od czasu do czasu słyszałem jej odpowiedzi i siąkanie nosem. Pożegnaliśmy się nie wyjawiając sobie naszych imion.

Kiedy oddalałem się od niej, widziałem jej oczy błyszczące i kropie deszczu na policzkach niczym prawdziwe łzy. Przyglądała mi się z plakatu podniszczonego jesienną pluchą.

Być może w tym miejscu skłamałem, ale nie ma to istotnego znaczenia. Człowiekowi jednak łatwiej oszukiwać siebie samego niż innych.



Rys. W. Dras

## Czy słyszeliście słowa które powracają?

**C**ZY słyszeliście słowa, które powracają. Niczym bumerangi. Słowo Tak przed chwilą odeszło ode mnie. Tak — można ciągnąć bez końca. Nie mam zamiaru powieścić wszystkiego. Tak widzę od strony — szczególnej i dziwnej przyjaźni. Niezaprzeczalnie uważam:

— Tak to przyjaciel.

Pozostało mi jeszcze słowo Nie. Lodowa bryła Nie — niektórzy sądzą — to twój mitologiczny mamut. Cały i doskonale zachowany. Słowo Nie przed chwilą odeszło ode mnie. Nie — można ciągnąć bez końca. Nie mam zamiaru powieścić wszystkiego. Nie widzę od strony — szczególnej i dziwnej przyjaźni. Niezaprzeczalnie uważam:

— Nie to przyjaciel.

Pozostało mi jeszcze... Słowo Tak odeszło ode mnie lecz powróciło słowo Nie.

Znów przysparzać to będzie kłopotów.

**S**WIATŁO było łagodne, sennie i wydawało się, że ma smak dobrego wiejskiego miodu. Jego obecność dawała tyle samo poczucia snu, co i jawy.

Tom Norman długo rozkoszował się tym sufitowym światłem, po czym nagle zerwał się i kiedy chciał opuścić nogi z łóżka, już w pozycji siedzącej, zrozumiał, że łóżka nie ma, a on sam leży na podłodze w pomieszczeniu bez sprzętów, które w niczym nie przypominało jego pokoju wypoczynkowego w Instytucie Badań Literackich.

Chwilę siedział ze wzrokiem przybitym do przeciwległej ściany. Na trzech ścianach, które ostrożnie zbadał spojrzaniem nie znalazł żadnego otworu, żadnego okna ani drzwi. Uśmiechnął się jakby postawiono nagle przed nim lustro. Powolnym ruchem, wając każdy gest i ubierając go w teatralne pozy, wstał, stanął na

Przybieżył. Korytarz choć piekielnie długi również nie miał okien ani drzwi. Widocznie musiał znajdować się w podziemiach jakiegoś budynku. Światło — tym razem selektywne — emitował lekko połobawiany sufit. Było nawet przyjemne, ale Tom Norman czując się wciąż obserwowanym przez ukryte kamery dyskretnie oglądał ściany, by móc w którymś momencie nawymyśleć wprost w obiektyw swoim kolegom.

Światła zmieniały się teraz na coraz krótszych odcinkach. Trudno było określić cel dziwnych zabiegów konstruktorów tego obiektu. Kolor i natężenie światła zmieniały się już na prze trzeni około metra a subtelność ich odcieni była zadziwiająca. Mimo zdenerwowania Tom Norman stwierdził, że jest to znakomity spektakl dla oczu. Zreflektował się, kiedy miał już za sobą ponad stumetrowej długości korytarz pełen różnobarwnych światel. Nastąpiła chwila w nadziei, że gdzieś na ścianie usłyszy jakieś odgłosy, szum ulicy. Ciszę zagłuszał tylko jego oddech. Ruszył dalej szybkim krokiem, coraz szybszym, w końcu biegnąc przez zwirowany korytarz czuł jak przebijają się przez kolejne warstwy światła niczym przez różne zgęszczone warstwy powietrza.

Jerzy Krzysztof Misiec

# Labirynt

szeroko rozstawionych nogach. Chwilę stał nieruchomo, by nagle błyskawicznym ruchem zrobić obrót w stronę czwartej ściany.

— Trach, tra...

Zamiał ujrzeć rozbawione twarze swoich kolegów, starych kawalarzy zobaczył naga, gładką ścianę z otworem prowadzącym w głąb korytarza wypełnionego mdłym światłem. Zanosilo się więc na kawał wyższej jakości. To ciekawie skonstruowane pomieszczenie, misternie dobrane kolory i światła świadczyły o długiej i dobrej robocie kolegów — badaczy — kawalarzy.

„Jeżeli jestem w tej chwili obserwowany okiem jakiejś zmyślnie ukrytej kamery, muszą mieć niezły ubaw. Tom Norman w westernowym geście zdębiał w pomieszczeniu bez okien, ten słynny Tom, specjalista od poezji politycznej, zgłupiał w sześciu ścianach z braku swoich ukochanych książek i wypoczynkowego tapczanu”.

Obojętnym krokiem ruszył w stronę korytarza. Dyskretnie przejechał dłonią po ścianie. Jej powierzchnia przypominała jakąś elastyczną wykładzinę plastikową. Biała podłoga korytarza była wyłożona chyba tym samym materiałem, który tłumil odgłos jego kroków. Po kilkunastu metrach oświetlenie zmieniło się w delikatny pomarańcz. Przypominało oświetlenie sypialni apartamentów w luksusowych hotelach.

„Gdzie mnie zamknęliście, idioci, wy wstrętni gówniarze od awangardy i frańdzki XIX w., wy parazyty świnie od realizmu francuskiego”.

Tom Norman chciał krzyknąć, ale szalony bieg wcisnął słowa na dno gardła. Korytarz znowu łagodnie skręcał w prawo, kolory zdawały się powtarzać, a migająca monotonia ścian sprawiała wrażenie stania w miejscu. Znów prosta, światła, łagodny zakręt w prawo, przysta...

„Ależ to stadion...” Zatrzymał się, ciężki oddech pulsował na granicy żółto-pomarańczowego światła.

„Dla kogo stadion? Kto jest w nim widzom? Po co te światła, gdzie trybuny? Tylko spokój, spokój” — położył się na podłodze. „Jestem w

**P**RZEZYWSZY już spory kawał życia, ostedłem się na prowincji. Klimat, tak społeczny jak i przyrodniczy, wpływał pozytywnie na moją świadomość skłaniającą się coraz śpieszniej ku refleksjom i rozpałetywaniam, które postanowiłem uwiecznić w literackiej formie. Tryb życia miałem w zasadzie ustabilizowany. Poranny relaks przeobrażał się w przedobiednią twórczość, poobiednie spacerowały w pogawędki z przypadkowo spotkaną miejscową ludnością. Wieczory spędzałem przy świecach, w salonie mojego wygodnego, położonego na pobliskim wzgórzu wśród drzew domu. Żadna troska, jak się zdawało, nie miała zmącić mojej osiadłej doczesności.

A więc odciąłem się — myślałem z zadowoleniem. Niech tam inni rozprawiają się z żywiołem postępu, niech potępiają lub popierają elementy, niech kruszą kopie o jakiejś beznamiętnej codzienności. Ja... owszem. Popieram. Czasem pośle składkę. Niech dystrybuują. Wolę jednak zapasę w filozoficzną zadumę nad światem niż walczyć z jego efemerycznymi przejawami. To już nie dla mnie. Przeżyłem swoje. Refleksje te uspokajały mnie jak bujające fotela i mrużenie kota w kacie. Twórczość — ot co. Jest w tym sama własność wzbývá szkodliwych emocji. Zimnokrwiste spojrzenie tym łatwiej wychwytało obiektywność dzieł.

Pisałem przeważnie do szuflady. Niech historia oceni. Może pomnik postawią. Jak to on był obiektywny i prawy — powiedzą. Może nawet będą się powiewali. A niech im tam. Będę ponad to.

Mijały miesiące i lata, dojrzewałem twórczo w oczekiwaniu na dopięcie. Sam obiektywizm zdawał mi się przezroczy, która lekkoimi przedami przechodziła w

# JEDNO-

strony, setki stron, księgi. Zdania z coraz większą finezją przekradają się nad subiektywnościami marny masy zdarzeń, coraz to bardziej zbliżając się do idealnej precyzji ujmowania obiektywności. Waleząc z wszelką konkretyzacją faktów zaciemniających jasne to dzieł, zaniechałem wszystkiego co w jakikolwiek sposób mogło zmącić moją wizję. Zrezygnowałem więc z poobiednich pogaduszek z ludem Lud — to rzecz przedmiotowa i konkretna, a mnie interesował lud jako taki, rozbawiony wariabilnych nieprecyzyjności. Zupelnie osamotniony, czulem jak zbliża się chwila, w której dokonam swojego odkrycia. Przechadzki na łonie przyrody także musiałem z





Rys. W. Dras

sytuacji nienormalnej, jestem ofiarą eksperymentu, jestem w błędnym kole".

Przewrócił się na plecy. Falisty sufit spływał złotym jednostajnym światłem. Po chwili światło zaczęło pulsować przechodząc niemal w brąz. Histeryczny śmiech przerwał ciszę i pulsację światła. Korytarz nie niósł żadnego echa, ściany pochłaniały wszystko. Tom Norman zaczął turlać się pod ścianę. Poczł jak pod naporem jego pleców ściana ustępuje, a on sam z uczuciem spadania zagłębia się w cierni.

Powieki rozwarł mu silny strumień światła. Powoli przyzwyczajając się do dziwnego światła. Pośrodku pomieszczenia wielkości tenisowego kortu leżały trzy kule. Jedną z nich pulsowała oślepiającym światłem. Kolory kuli i natężenie pulsacji zmieniały się w nerwowym tempie. Ułożył się wygodnie na podłodze podparł brodę na rękach i z ironicznym uśmiechem przyglądał się bezmyślnie iluminacyjnemu drgawkom kuli. Po kwadransie kula wygasła, jej rolę przejęła druga. Kiedy już trzecia kula rozpoczynała swój świetlny taniec, zauważył po lewej stronie zwykle, drewniane drzwi.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy ujrzał za nimi najzwyklejszą klasę szkoły średniej końca lat 70-tych. Ławki, krzesła, szafy, pomoce naukowe, tablice, kreda. Wszystko było realne, nawet zapach. Powrócił do sali z kulami. Wielkimi literami, przed trzecią kulą dogorywającą w świetlnych drgawkach, napisał na podłodze: GOWNO.

Wrócił do klasy, usiadł przy stole nauczycielskim. „Przecież to sen, brutalnie realny sen.” Na końcu

klasy były kolejne drzwi. Ostrożnie je uchylił i stanął jak wryty. Oto znalazł się w swojej olbrzymiej bibliotece domowej. Była to jego idealnie zrekonstruowana biblioteka. Półki z książkami sięgały od podłogi do sufitu. Były to jego książki, jego fotel, lampa, biurko, zdjęcie nieznanego brata.

Biegiem wpadł do klasy, z klasy do sali z kulami. Panowała tam smolowata ciemność. Wrócił do biblioteki.

„Kto chce mnie doprowadzić do szalu, gdzie jestem, gdzie jest miejsce, w którym moja licealna klasa i moja biblioteka domowa oddzielają jedne drzwi? To sen, to sen”. Szarpnął drzwi do klasy, panowała w niej smolowata ciemność.

„Mam na was sposób. Za dużo w was litości. Nie pozwólcie mi, abym dia waszych głupich eksperymentów szargał swoje świętości”.

Gwałtownym szarpnięciem wyrwał najbliższy stojący regał. Książki z loskotem zwały się w wielką stertę. Półki opróżniały się z książek. Tom Norman rwał je, deptał, młotał o ściany. Z suchym trzaskiem rozrypała się oprawiona w szkło fotografiala brata. Zawartość kolejnych szuflad fruwała w powietrzu. Z dzikim okrzykiem rzucił się na portret prezydenta, pod uderzeniem fotela rozprysł się globus. Tom Norman stał się żywiołem szalejącym wśród fruujących kartek, książek, resztek mebli, drzazg, szkła i tynku.

Z pasji niszczenia wyrwał go ostry gwizd. Dochodził zza ściany. Gwizd powtórzył się kilkakrotnie.

— Wy, suk'ni yni!  
Z wściekłością uniósł nogę, by u-

derzyć podeszwą w ścianę. Okazała się miękka jak powietrze. Z impetem spadł do pomieszczenia, w którym, o ironio, stała trzymetrowa rzeźba. Była to Statua Wolności. „Wszystkim więźniom służy się wolność. Ale was ta ironia będzie kosztować”. Rzucił się na rzeźbę. Poddała się łatwo uderzeniu, przechyliła się do tyłu i z głuchym łomotem rozprysła się jej skorupa. Z wnętrza wyssały się trociny. „Nic mnie nie zdziwi. Nie próbujcie mnie szokować”.

Całą salę zajmowały rzeźby. Niektóre z nich znał, były to kopie słynnych rzeźb, pomników; niektóre o absolutnie niepojętych kształtach i pochodzeniu widział po raz pierwszy.

„Może chcecie mi urządzić egzamin z historii sztuki. Farfocle”.

— Gówno, gówno — wrzask Tom Normana przeplatał się z loskotem rozbijanych rzeźb. Musiało to trwać kilka godzin, bo gdy opadł na podłogę, zmęczenie pozwoliło mu tylko na jedną myśl: „Czytałem to u Robinsona. Badanie reakcji psychicznych człowieka w warunkach laboratoryjnego eksperymentu. Sytuacje ekstremalne i pozorujące marzenie senne”.

Obudziła go duszność. Poczł brak powietrza i ciemność. Gdy usiłował się podnieść, bolesne uderzenie w głowę zważyło go na podłogę. W ciemnościach obmacywał przedmiot nad głową. Była to gładka płyta, wolno zbliżająca się do podłogi. Człgał się we wszystkich kierunkach, wszędzie napotykał metalowe płyty. Był w klatce, metalowej klatce, której sufit wolno zbliżał się ku podłodze. Próbował odepchnąć go nogami. Gdy zrozumiał swoją bezsilność, opuścił zmęczone nogi. Chłodny metal dotknął czoła, odruchowo uniósł kolana, ale w tym samym momencie poczul jak głowa rozpada się na dwie części, a zawartość czaszki rozplywa się w ciemne korytarze.

W czasie gdy Tom Norman młotał się w metalowej klatce, Rejestrator Pierwszej Żalowej Wyprawy na Trzecią Planetę podawał dane do Głównego Mózgu.

— Egzemplarz 123, generacja wysokomózgich w hierarchii miejscowej. Wyjątkowa agresywność, brak zdolności czasoprzestrzennego myślenia, zmysł harmonii w zaniku, zdolność wizualnego kojarzenia — zero, wrażliwość językowa na barwoświatło — zero, znikoma zdolność artykulacyjna, brak rozwiniętego zmysłu miejscowych symboli kulturowych, mała pojemność pamięciowa. Deszyfrator — wyjaśnić dzwięki, gówno, suk'ni yni.

— Egzemplarz 123 skarowany. Niski potencjał energii mózgowej przekazany do zbiornika odżywkii rodzaju IV. Pierwszy dzień selekcji, Planeta Trzecia, nazwa miejscowa planety — ZIEMIA.

## NOTUJEMY

W dniach 8-14 września 1978 r. Koło Młodych ZLP w Lublinie zorganizowało wyjazd do Budapesztu. W wyprawie uczestniczyli członkowie Lubelskiego Oddziału ZLP, Koła Młodych ZLP, oraz osoby zaproszone. Pomocą finansową i organizacyjną udzielił Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie i Wojewódzki Dom Kultury. Wyjazd służył pogłębieniu doświadczeń twórczych, poznaniu współczesnej literatury węgierskiej, nawiązaniu kontaktów z młodymi twórcami i tłumaczami z Budapesztu. Lubelscy pisarze zwiedzili m. in. Budapeszt, Sentendre, Estergom, Wyszegrad, uczestniczyli w spotkaniu w Klubie Młodych Twórców, przedstawili w Zarządzie Głównym Związku Pisarzy Węgierskich projekt wymiany stypendystów między Lublinem i Debracynem. Dokonano również wymiany materiałów literackich. Jej owocem będą następujące „węgierskie” „Źródła” oraz wiersze poetów z regionu lubelskiego w przygotowywanej na Węgrzech antologii młodej poezji polskiej.

W październiku br. opuściła drukarnię II seria „Lubelskich Prezentacji Poetyckich”. Składają się na nią następujące książki: „Studia proroków” Anny Waszczuk Listowskiej, „Czatownik” Waldemara Drasa „Psalmy pomysłowości” Aleksandra Katalubana, „Bezdziesięć jeszcze żył” Jerzego Misca, „Polonez z różą w gardle” Krzysztofa Paczurskiego, „Jeśli mam być obecny” Aleksandra Rosenfelda i „Gra na pamięć” Stanisława Sadurskiego. Tomiki wydane zostały przez Lubelski Oddział ZLP i Koło Młodych Pisarzy w nakładzie 499 egz. Serie zrealizowano przy pomocy Wydziału Kultury i Sztuki UW w Lublinie, Zarządu Wojewódzkiego SZSP i Wojewódzkiego Domu Kultury.

6 października br. odbyło się zebranie Koła Młodych ZLP, na którym dokonano uzupełnienia Zarządu Koła. Oto aktualny skład zarządu: Bogusław Wróblewski (przewodniczący), Zbigniew W. Fronczek (wiceprzewodniczący), Waldemar Dras (sekretarz), Stefan Aleksandrowicz (skarbnik), Jerzy K. Misier, Krzysztof Paczurski, Waldemar Zelazny. Koło skupia 41 młodych twórców.

Nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazał się długo oczekiwany książkowy debiut poetycki Tadeusza Kwiatkowskiego — „Cugowa pt. „U drzwi moich płomien dalekiego ogniska” (s. 59, nakład 1200 egz., cena 10 zł).

W dniach 24-29 października odbywał się w Poznaniu Final VI Festiwalu Kultury i Sztuki PRL. W pracach teoretyczno-dyskusyjnego nurtu Finalu uczestniczyli młodzi twórcy z Lublina: Anna Borkowska, Waldemar Dras, Jerzy Misier, Bogusław Wróblewski, Waldemar Zelazny.

W konkursie „Nowego Medyka” i „ITD” na arkusz poetycki wyróżniona została propozycja Anny Borkowskiej. Tomik, redagowany przez Lecha Isakiewicza, ukaze się w przyszłym roku.

Członkowie Koła Młodych Pisarzy uczestniczą w cyklu spotkań autorskich w Klubie Stowarzyszeń Twórczych „Nora”. Spotkania odbywają się co dwa tygodnie od listopada 1978 r. do stycznia 1979 r.

## LITOŚĆ

Jakub Anatema

rzednio wszystkie przedmioty jakie w nim pozostawały. Kazalem wybić setany a okno przesunąć tak, by widoczna była przezeń jedynie północna część nieba jako mniej wrażliwa na różnice w oświetleniu. Wysokie drzewo, widniejące nawet za tak wysoko umieszczonym oknem, kazalem ścinać. Prawie dobrze. Naokoło sama idealna biel ścian, drzwi, sufitu i podłogi. Siedziałem teraz na białej posadzce przed białą kartą papieru i pisałem. Po zapisaniu każdej strony wynosiłem ją do innego pomieszczenia i znowu widniała przede mną biała, czysta karta.

Pisałem coraz płynniej i finezyjniej. Słowa bezwiednie spływały z mojego pióra, głosząc obiektywność niemal sama w sobie. Reformy, jakie przeprowadzałem w swoim trybie życia i pracy, wydawały mi się ledwie niewystarczające. Wszak ciągle obecne były pewne elementy różnorodności w moim otoczeniu, które mogłem niewłaściwie recypować. Weźmy takie ubranie — tu koszula... tam spodnie... ówdeż buty i wszystkie w jakimś kolorze. Od tej pory pracowałem nago, dokładnie wybielony kredą tak, jakby ktoś wszedł do pomieszczenia, w pierwszej chwili nie zauważyłby, że tu ktoś jest. Posiłki także zredukowałem do białego chleba i mleka.

Ideal był tuż tuż. Już za kilkoma stronami mógł pojawić się sam absolutny proces dziełowy. Pracowałem namiatnie. Coś jednak wyraźnie przeszkadzało mi w wydobyciu ostatniego, absolutnie wiernego rzeczywistości akordu zdań. Co właściwie mogło stanowić tę ostatnią przeszkodę? — rozpałetywałem ustnie całymi dniami pracując bez wychylenia. Aż wreszcie zrozumiałem. Na tej białej karcie widniały jakieś niewyraźne kontury. To były moje ręce.

W jednej chwili podniełem dźwignię...

## Co to kogo obchodzi

Jan Klimecki

siół operacyjny był zbyt wysoki aby osiągnąć go samodzielnie zdołałem natomiast siłą brak i myśl była ograniczona nienazwanym jeszcze niedoświadczonym — cudzymi rękoma cudzymi słowami uspokojony uzyskałem nową przestrzeń (o której dotąd nie wiem czy jest w niej miejsce na życie) kiedy straciłem poczucie czasu.

nie słyszę swego głosu gdy przywołuję odpowiedzialnych za to co już nie jest mną a tylko amputowanym organem lecz widzę wyraźnie zdumienie podświadomie indagowanych — stawiam ich w stan oskarżenia i ulegam przerażeniu kiedy zdumienie przerażenia się w uśmiech ulgi na twarzach obryzanych krwią a gdy się myja wydają bezlitosne wyroki które nigdy nie znajdują uzasadnienia ani wykonawcy

minuty znów są bezbolesne tylko pragnienie dokucza jak uśmiechy wzywających mnie lekarzy a przestrzeń pozbawiona czasu swą tajemnicą nieskonczenie draży świadomość

przed sobą uciekałem przed siebie wślizgiem z początku na stacji bez narwy i ruszyłem świeżo wyciętym duktem na wprost donikąd

gdzie zostały buków płomienie tam napotykałem przez wszystkie zapamiętane wieki — dachy domów były z czarnymi dachówkami wesołe i strome — drewniane płyty w głębi głęboko zapadłe obrosły seledynowym

mechem — pod dużymi oknami rosły malwy i słoneczniki — domów w dwuszęregu stało po aże — dym się unosił z każdego komina — wszędzie mieszkali tylko starzy ludzie o jasnym spojrzeniu — dlonie oraz włosy im wybielały i milczeli pogodnie

zamieszkałem w środku wsi w przytulnym pokoju na poddaszu — ledwie rozpakałem piecaka a już ronie było wokół mnie za dużo nazajutrz w dalszą drogę nie zabrałem piecaka

nad ranem gdy się w sobie otwieram na przestrzał między kochanymi włosów a podstawa stop wszystko tętni serdecznie i wraz ze mną ciężkim galopem podąża ku nieznannej oślepiającej bieli — banalna samotność przestacza się w strach

bezkompromisowa siła przestawia moje ciało z nogi na nogę po przekątnej pokoju w niemy zabłądzeniu oczy szukają zapowiedzi światła na białonych ścianach pełna znaków zapamiętania o nic nie pytających odpowiedzi których nie mogę udzielić w obawie przed gwałtownym przejściem na stronę listniela

z mroku wyłaniają się kontury sprzętów wyraźniejsze z każdym krokiem powrotnym



# Pokolenie manipulowane?

Bogusław Wróblewski

**D**OROCZNE ogólnopolskie seminarium literackie, popularnie zwane „lesznowką” od nazwiska nieustraszonego organizatora, odbyło się w ostatnich dniach października w Poznaniu w ramach Finału VI Festiwalu Kultury Studentów PRL. Ze względu na charakter macierzystej imprezy dwudniowe zarzycza seminarium rozrosło się czasowo i tematycznie, stając się trzonem teoretyczno-dyskusyjnego nurtu Finału. Przez pięć dni młodzi twórcy z całego kraju spotykali się na sesjach dyskusyjnych i mityngach poetyckich. Uczestniczyła w nich również czterosemnaście grup przedstawicieli środowiska lubelskiego.

Gdybym miał najkrócej zasygnalizować wrażenia z imprezy, użyłbym słowa „monopol”. I nie chodzi tu bynajmniej o Państwowy Monopol Spirytusowy, jak pomyśleli zapewne ci, którzy kulturę studencką kojarzą z kulturą picia (różnica leży choćby w tym, że ta pierwsza jest realnym zjawiskiem, gdy druga tylko postulatem). To, co w zamierzeniu organizatorów (Leszin, Waśkiewicz, Isakiewicz) miało się stać przeglądem dorobku literatury studenckiej ostatnich pięciu lat, stało się przeglądem dorobku samych organizatorów. Nie świadczy przeciw nim organizacyjny talent, pomysłowość, dobra robota edytorska, rzeczywiste oddanie sprawie. Przeciwnie — chwala im za to. Czy jednak literatura studentów to tylko tomiki z serii „Pokolenie, które wstępuje”? Czy jedyny krytek zdolny do kompetentnej oceny poczynił debiutantów to Andrzej K. Waśkiewicz? Czy wreszcie większość nazwisk referentów musi być powtórzeniem zestawu nazwisk najczęściej widocznych w publikacjach spod znaku „Nowego Medyka” i „ITD”? Kilka osób nie jest w stanie kontrolować całości zjawisk w młodej literaturze — realnie monopol nie istnieje. Jeśli owych kilka osób ma poczucie wyłączonego — rzecz to bez większego znaczenia, tym bardziej gdy takie

poczucie jest warunkiem ich dalszej (jak się rzekło — pozytywnej) działalności wydawniczej.

Problem pojawia się wówczas, gdy kategorie, jakimi operują „wujkowie pokolenia” (starsi od debiutantów o dwie generacje twórcze) pokolenie przyjmuje za własne. Bowiem o wiele gorsze od skanalizowania i scentralizowania działalności wydawniczej jest skanalizowanie i scentralizowanie myślenia.

Istniejące niebezpieczeństwo można było sobie uświadomić z całą jasnością w czasie poznańskich dyskusji. Wygłoszone referaty były na ogół interesujące, zawierały tezy na tyle kontrowersyjne, by pobudzić do rozmowy (o ile referent nie prezentował siebie zamiast zapowiedzianego problemu, jak zrobił np. Lech Majewski). Jednak „dyskusja”, która po nich nastąpiła, była zazwyczaj zbiorem oderwanych kwestii. Na sali panowała „zmowa milczenia” wokół kilku tematów, których podjęcie mogłoby się rzekomo okazać przykre dla organizatorów.

Wydawałoby się, że albo debiutanci godzą się na to, by ich wystąpienia traktowano jako ruch stadny, godzą się na istnienie w grupie a nie poszczególnymi indywidualnościami i wówczas powinni o wewnątrz grupę tę określić, zakreślić jej granice, ustalić sami warunki, na jakich w niej funkcjonują, albo ten zabieg im nie odpowiada i wówczas powinni wspólny mianownik odrzucić jak zbyt obszerne i bezbarwne ubranie. Dyskusje poznańskie tego nie rozstrzygnęły, pod słowami większości mówiących można było usłyszeć: dobrych wujków nie traktujemy poważnie, ale ich lubimy, nie robimy im przykrości, bo przestaną opowiadać nam bajki o nas samych i dawać nam kieszonkowe.

Na szczęście „pokolenie manipulowane” to na razie bardziej niebezpieczeństwo, ponura wizja niż rzeczywistość. I oby nigdy rzeczywistością się nie stało.

Roman Sliwonik  
Autor „Listów w sprawie poezji”  
Literatura nr 43 26.X.78 r.

Szanowny Panie!

Czytelnicy, czy ogólniej mówiąc odbiorcy sztuki, przywykli już do takich dziwactw, że zaskoczył ich czymś trudnym. A Panu się to udało. W pierwszej chwili zapewne nieufnie podeszli do „Listu w sprawie poezji”, bo w ton lawosentymentalny Pan uderza, każde zdanie przepojone smutkiem i troską, ale co tu dużo gadać, czuła rękę mistrza, znać słowa z duszy płynące. Sytuacja dojrzała do wyjasnienia takiego listu. Czas już najwyższy, żeby społeczeństwo zrozumiało coś z poezji, by potrafiło odróżnić ziarno od plewy poetyckiej, niech wreszcie zrozumieją, że Roman Sliwonik jest jeden, może by się wreszcie znalazł jakiś Oblęgorek.

To doprawdy skandal, że Roman Sliwonik nie został uznany poetą nr 1 w PRL. Nakłady swoich książek uważa za niewielkie i to go smuci. Taki Iwaszkiewicz, Ważyk, a nawet niejaka Szymborska mają znacznie większe.

A ma Pan tylu znajomych. No, może nie tylu co Iwaszkiewicz, i nie tak wpływowych, ale wszyscy oni chcą czytać Pańskie wiersze. I nie można im nic pomóc. W dodatku gdzieś tomy Romana Sliwonika dla 70 tysięcy uczestników działających w teatrach poezji?

Aha, czy nie wydaje się Panu dziwne, że taki Holoubek czy Hanuszkiewicz, że nie wspomnę o innych, nie mają przeciwko takiej rzeczy potencjalnych aktorów? Nie zalamują wszak ręk, że nierzadko nienajlepsze recytowanie jest niecierzeniem się ze słuchaczem, że obraża zawód, że odciąga publiczność od teatru przestaniając sztukę jarmarczną rozrywką?

Pan zaś wieża psy na młodych adeptach pióra. Obawia się Pan utraty nawet jednego czytelnika. Utraty mogącej nastąpić po przeczytaniu miłkiego wiersza. Czy to prawda? Jeśli Pan w to wierzy, to lista odpędzonych od poezji przez Pana nie jest mała.

Do młodych jednak wracając. Pisze Pan tak: „odbywają spotkania autorskie — ci zawodowi amatorzy — obrażają słuchaczy, nie mają szacunku dla poezji”. Dziwi Pana w nich nadmiar odwagi, chęć skandalizowania. Ponadto ma Pan zastrzeżenia, że grasują, że uganiają się z biesiady na biesiadę.

Pan je omija?  
Pan tam szuka czego innego. Rozumiem.

Inne są odczucia indyka, inne są odczucia smakosza. Proszę się zawczasu nie obrażać. Podobają mi się Pański bunt. Szczery choć miejscami może naiwny. Chciałby się Pan komuś dobrać do skóry, ale nie bardzo jest komu. Bo kto ponosi winę za taki stan rzeczy. Tu tabuny poetów, nie traktują człowieka poważnie, nie dotrzymują terminów, prezesa trzeba prosić o drugie pięć minut. Tylko pięć. I nie wiadomo czy da się uprosić. Telewizja też się do rzeczy źle zabiera. Zamiast poetów liście pokazują. Żeby choć figurowe.

Nie miałbym nic przeciwko temu, by podnieść rangę zjawiska poetyckiego.

Samych poetów chętnie oglądałbym w dobrze skrojonych garniturach, z abopamentami „do stolówek”, z legitymacjami w kieszeniach upoważniającymi do nabycia biletu ze zniżką albo jeszcze lepiej do przejazdów darmowych. Jednym słowem skończyć z tą impotencją, z artystyczną bezsiłą, uczynić bezsilnych mocnymi, wreszcie w dusze poetów przekonanie o ich wyższości.

Chciałbym doczekać takiej chwili, aby przed wejściem do redakcji stał poeta i przepytował wchodzących redaktorów z obowiązków. Nie umie, na egzamin poprawkowy. Oczywiście do Pana. Od oblanego egzaminu poprawkowego nie ma odwołania. Zegnaj pracu. Na jego miejsce przyjdą inni. Oso- by te przed objęciem stanowisk należałoby nauczyć dobrych manier. I tu co za pole do popisu dla Pana. Do tych celów niki się lepiej nie nadaje.

Przezskoleni redaktorzy oprócz w- miejetności rozróżniania złej i dobrej poezji będą zobowiązani do „odpowiadania na listy, dotrzymywania terminów, okazywania szacunku i grzeczności w ramach powinności etatowych”.

W ten oto sposób bolący problem godności poety przestanie istnieć. Chciał osobiście wolałbym, aby rozwiązano problemy kolejniactwa. Może się znajdzie jakiś Roman Sliwonik w kolejańskim uniformie, może podda krytyce kolejarze to i owo.

Momentami podziwiam Pana odwagę. Słowo przynajmniej oszczędza Pan popularnemu u nas w kraju miesięcznikowi „Poezja”.

Ale co pisać w tym miesięczniku o poetach. Numer 10, fragment dotyczący pracy podejmowanej przez poetów. Jak zapewnia nas autor artykułu „Hermeneutyka czy numizmatyka” poeci pracują w bibliotekach, domach kultury, są pracownikami naukowymi, dziennikarzami. Wielce sobie cenią pracę w wydawnictwach. Praca w przemyśle nie cieszy się popularnością. A już nie ma mowy o rzemiośle. Bodej- by się trafił jakiś rzeźnik, masarz, choćby fryzjer.

I jak tu z takimi zbudować nowoczesną sztukę, nie mówiąc już o gospodarce.

Pan nie pisze o pracy poety. Zaznacza jedynie, że prawdziwi poeci poświęcają poezji całe życie. Brzozowski kiedyś napisał: „W klacieczce za złoconymi przyciskami siedzi der aklimatisierte Ariel i ćwierka.”

Myślę, że poezja nie potrzebuje Pańskiej protekcji. Proszę sobie uświadomić daremność wysiłków. Wspomniał Pan o artykule we „Współczesności”. Od tamtego czasu, jeśli coś się zmieniło, to na gorzej. To nie są moje słowa. Jeśli Pan napisze coś za kilka lat, już dziś wiem jak będzie to wyglądało.

Po co skazywać poetów na godność. Kto jej nie ma, ten nie nabierze, bez względu na to ile Pan napisze listów w tej sprawie.

Pozdrawiam

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

## O model poezji elektrycznej

**K**IEDY młodzi spotykają się na seminariach, konkursach i festiwalach poezji, by dyskutować o funkcjach języka poetyckiego, głosy najczęściej są zbieżne: polifoniczność (linearyzm), dialektyka, sprowadzanie do jedności, a poprzez własną płaszczyznę widzenia do uogólnień. Nikt jednak nie wie, nie zauważa, iż w praktyce jest to bariera, którą nie każdy zdola przekroczyć. Coraz więcej bowiem w młodej literaturze powierzchowności, spekulacji językowej - obrazowych, które poza swym istnieniem nie wnoszą nic, co można by nazwać pytaniem o człowieka lub próbą dialogu z jakimkolwiek adresatem.

W tomie Lecha J. Majewskiego „Poszukiwanie raju” świat się poznaje idąc tyłem, pocięty na fragmenty, zdefiniowany i zaplanowany. Życie podlega prawom filmu, można je powtarzać, zamieniać, ulepszać według reguł narzucanych przez audiowizję. Człowiek jest istotą elektryczną, nawet w swej miłości, jest zaprogramowany jako mechanizm, którego jedyną funkcją

w życiu jest spełniać i odbierać spełnione — uczestniczyć w życiu, ale go nie tworzyć.

Jeśli pojawia się wizja nowej rzeczywistości, to tylko w takim wymiarze, iż najlepszym rozwiązaniem byłoby zaakceptować starą... bo Cóż ci innego pozostało / Powiedz / Chociaż miasto / które codziennie obserwujesz ze swojej wieży cisnień / Wydaje się dnem morza. Jeśli pojawia się szansa stworzenia nowej arkadii — chociażby w świadomości onirycznej — to tylko po to, aby określić rozmiary pozoru i złudzenia.

Majewski narzuca czytelnikowi świat, włoży go po barach, nocnych lokalach, kinach, poszukuje wartości, choć w żadną wartość nie wierzy na tyle, by ją przyjąć za aprobować. Neguje prawdy ogólne, lecz nie potrafi do nich dostrzec, nie potrafi w nie uderzyć. Mówi o bogu, zbawieniu, raju, choć i tak przeszedł najlepsze... niebo jest między nogami.

No cóż, gdyby nie było Wojaczka „Sezonu” czy „Innej bajki”, byłbym skłonny uwierzyć w nową estetykę, nową prawdę o człowieku, kulturze i cywilizacji.

Poza kilkoma innymi zapożyczeniami z Wojaczka (wiersze: „My piękni chłopcy”, fragmenty poematu „Poszukiwanie raju”), poezję Majewskiego cechuje wyraźnie zarysowany chwyt konstrukcyjny. Wiersz posiada budowę eliptyczną (środek elipsy nie należy jednak do czytelnika), przeważnie kończy się motywem lotu lub odpływu. I tak np. *Opień pochłonął wiedźmy / A dziewice / Na motocyklach wyniósł do nieba — „Legenda o ogniu bożym”, Za oknami / Czterdzieści dni bez przerwy leje / A my odpływamy ocaleni / Aby złożyć ofiarę — „Apteka”, Z jasnego radia w programie nocnym z Wrocławia / Wypływały / anielskie chóry — „Apteka pokoju No. 305”* I tak by można w nieskończoność, gdyby przy okazji ktoś nie od-

krył faktu, iż jednym wierszem można zastąpić cały tom.

„Poszukiwanie raju” to zbiór wierszy bardzo słaby. Razi przesadna megalomania. To oczywiście, że jestem szefem raju... oraz naiwność... puść telewizor / Lubie czysty śpiew / Prezenterów / Pomogą ci w bólu / A ich zapowiedzi powitają nasze dziecko / Nie dane ma będzie cierpienie / Jeśli zawierzyliś słowom / Obejrzyj kilkanaście filmów / kończących się szczęśliwie / I usłyszysz / beztroski / Komen-larz.

Wątpię, czy sam Majewski wierzy w te słowa. I dziwię się, bardzo się dziwię „Czytelnikowi”, który przeciw w tym roku wydał kilka bardzo dobrych książek, iż nie potrafi odróżnić poezji od hochszta- plerki. Jeśli będziemy zalewać czytelnika taką ilością bezwartościowych tekstów (Majewski w przeciągu kilkunastu miesięcy opublikował trzy obszernie tomy, a czwarty le-

ży w wydawnictwie), wcale nie jestem pewien, czy książ- licy naprawdę wartościowe ode- brane będą z należytą uwagą.

Waldemar Żelazny

Lech J. Majewski „Poszukiwanie raju”. „Czytelnik”. W-wa 1978, s. 74, nakład 2290 egz. Cena 20 zł.



Źródła — kolumny młodoliterackie w „Kamieniu” redaguje zespół w składzie: Zbigniew Włodzimierz Fronczek, Bogusław Wróblewski, Stanisław Żurek



# NA ŚCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (II)

**W** DNIU 28 sierpnia 1942 r. general Władysław Sikorski podpisał w Londynie następujący rozkaz opatrzonej adnotacją: „Pilne!”:

L. dz. 3143/Tjn.O.I./Org. 42  
W ślad za pismem L. dz. 2857 (Tj./O.I. St.142, zarządzaam sformowanie kompanii „Commando” w/g następujących wytycznych:

1. Jednostka formująca: 1 Sam. Bryg. strzel.
2. Skład osobowy — zał. Nr 1
3. Termin sformowania: 20.IX.42.
4. Odznaki: patki piechoty (...) Na rękawach poniżej „Poland” napis „Commando” typu brytyjskiego.
5. (...)
6. Kompania „Commando” wejdzie w skład między-alianckiego Commando, Kompania pod względem organizacyjnym podlegać będzie miłe bezpośrednio przez Sztab N. W. I. I.

Ten nie publikowany dotąd dokument wyznacza początek historii jednego z najmniej znanych polskich oddziałów wojskowych na Zachodzie. Samodzielnej Kompanii Komandosów, przekształconej pod koniec wojny w Batalion Komandosów Zmotoryzowanych, Polscy komandosi byli pierwszym polskim zwartym oddziałem, który wyładował na Półwyspie Apenińskim, oni też pierwsi z Polaków weszli tam do akcji bojowej. Brali m. in. udział w walkach nad rzeką Garigliano wchodząc w skład zgrupowania komandosów brytyjskich. Włączeni następnie do polskiego II Korpusu walczyli pod Monte Cassino, jako pierwsi wkroczyli do Ankonu, bili się o Bolonię. W pewnym okresie przyłączona została do nich tzw. „włoska kompania komandosów” powstała z ochotników Włochów, pragnących walczyć z Niemcami.

Samodzielna Kompania Komandosów, oddział złożony z około setki żołnierzy, wytreningowany wszechstronnie w specjalnym centrum szkolenia komandosów w Wielkiej Brytanii, dał w bitwach dowody ogromnej sprawności, odwagi i poświęcenia. Jednak, jak dotąd, dzieje jego były mało znane, jak zresztą w ogóle dość mało znane są u nas dzieje komandosów.

Już jeśli chodzi o samą nazwę, istnieje szereg nieporozumień. Komandosów utożsamia się zwykle z wojskami powietrzno-desantowymi albo „ciężkoarmijnymi” — specjalnie przeszkolonymi skoczakami spadochronowymi zrzucającymi na tereny krajów okupowanych przez hitlerowców i wchodzącymi w kontakt z tamtejszym podziemiem. W Polsce znana jest historia desantu spadochronowego pod Arnhem, słynna operacja „Market-Garden”, w której wzięła m. in. udział 1 Polska Samodzielna Brygada Spadochronowa pod dowództwem gen. Stanisława Sosabowskiego. Ukazało się na ten temat cały szereg opracowań historycznych i książek, by wspomnieć tylko tłumaczoną u nas z angielskiego pracę gen. R. E. Urquharta „Arnhem” czy powieść Bohdana Drozdowskiego „Arnhem — ciemne światło”. Drukowano też niemało tekstów dotyczących „ciężkoarmijnych”. W najbliższym czasie wejdzie na nasze ekrany słynny angielski film Richarda Attenborougha „O jeden most za daleko”, w którym, w dwóch obszernych sekwencjach, występują polscy „komandosi” gen. Sosabowskiego. Jego postać kreuje — nawiasem mówiąc — znakomity amerykański aktor Gene Hackman.

Tymczasem komandosi byli to — cytując Encyklopedię II Wojny Światowej — wydana przez MON — specjalnie szkoleni żołnierze bryt. pododdziałów dywersyjno-rozpoznawczych, będących w dyspozycji Zarządu Operacji Specjalnych (SOE) i dowodzone przez dowódców działających w czasie II wojny świat. oddziałami komandosów przeprowadzili wiele udanych akcji na obszarach zajętych przez nieprzyjaciela (...). Brały także udział w morskich operacjach desantowych 1942—1944 oraz operacjach powietrzno-desantowych wspólnie z oddziałami spadochronowymi (...). Początkowo zorganizowani byli w kompanie, pod koniec wojny w bataliony i brygady (...).

Byli komandosi żołnierzami działającymi najczęściej — przynajmniej w pierwszym okresie — „z wody na ląd”. Osiągali swoje cele podpluwając do brzegów Francji, Norwegii a następnie wybrzeży Morza Śródziemnego — na niewielkich motorówkach lub łodziach desantowych. Wyszukani doskonale zarówno w wspinaczce wysokogórskiej jak i w walce na noże, potrafiący celnie strzelać „z biodra” z broni maszynowej, poruszający się bezszelestnie w nocnych ciemnościach, szybko obrastali w legendę.

Ich oddziały składały się z samych ochotników. Każdy z komandosów mógł bez wstydu dla „swojej” kompanii walczyć do macierzystej jednostki, ale także

powroty zdarzały się niezmiernie rzadko. Natomiast największą karą było dla komandosów karne odesłanie go do oddziału, z którego się wywodził. Ich organizacja, umiejętności i metody szkolenia, jakim zostawali poddawani, były w owych czasach zupełnie nowym, a spowijająca ich działalność tajemnicą sprawiała, że interesowano się komandosami o wiele bardziej niż innymi, równie bitnymi wojskami. Komandosów rozpoznawano się po zielonych beretach, napisie „Commando” na rękawie oraz (zw. „znaku operacji połączeniowej”). Była to ciemnogranałowa, okrągła tarczka z umieszczonymi na niej czerwonymi, połączonymi emblematami marynarki wojennej, wojska lądowego i sił powietrznych: kotwica, tommy-gunem i albatrosem w locie. Dookoła biegł napis „United We Conquer” — (Zjednoczeni zwyciężymy).

Na temat komandosów i ich działań (mowa cały czas o komandosach brytyjskich, którzy w 1940 r. dali początek tej formacji) ukazało się w Wielkiej Brytanii sporo książek, przede wszystkim obszerna: „The Green Beret” („Zielony Beret”) Hilary St. George

Saundersa, „Commando” Peiera Younga i „Raid on St. Nazaire” Davida Masona. Niestety niewiele w nich wzmianek o polskich komandosach.

W Polsce też mało o nich wiadomo. Najwięcej faktów podał Maciej Zajaczkowski, sam były komandos, na łamach „WTK” w 1972 r. Pisze również o polskich komandosach Olgierd Terlecki w pierwszym rozdziale książki (wszystkiego — osiem stron) „Polacy w kampanii włoskiej 1943—1945” (Interpress, Warszawa 1971). Wiadomości czerpie Terlecki — jak się wydaje — głównie z unikalnej już dzisiaj książki „Zielony talizman”. Reportaże z dziejów Pierwszej Samodzielnej Kompanii Commando 1942—1944” wydanej w niewielkim nakładzie w Bolonii w 1946 r. staraniem autorów, w większości żołnierzy i oficerów Samodzielnej Kompanii. Treść oparta jest przede wszystkim na osobistych, pisanych nieraz na gorąco wspomnieniach oraz na dokumentach jednostki. Tych jakie mogły być wówczas — ze względu na tajemnicę wojskową — opublikowane. Wszystko to razem daje materiał bardzo fragmentaryczny i niepełny.

Wyczerpujący wgląd w historię polskich komandosów dają ich szczegółowe „dzienniki bojowe” (każdy pluton prowadził taki dziennik) oraz kronika kompanii a następnie batalionu komandosów, do jakich udało mi się dotrzeć w czasie 7-miesięcznych poszukiwań w Londynie. Także relacje i wspomnienia byłych żołnierzy oddziału, z jakimi mogłem się zapoznać. W sumie ogromny materiał, którym wypełniłem grube bruliony, plus — oczywiście — zdjęcia, mapki i szkice sytuacyjne. Z tych materiałów wylania się barwna opowieść o unikalnym oddziale polskiego wojska.

Zacznijmy jednak od samego początku, to znaczy od wczesnego lata 1940 r., kiedy narodziła się myśl o powołaniu do życia nowego rodzaju wojska. Człowiek, który wpadł na tę myśl, nazywał się Dudley Clark, był pułkownikiem armii brytyjskiej i w dniach Dunkierki asystentem wojskowym szefa Imperialnego Sztabu Generalnego, gen. Jolna Dilla. Słaby żołnierz angielscy pospiesznie zaokrętownywali się na francuskim brzegu na noszącej im ratunek brytyjskie okręty. Clark wspominał nieustępliwa hiszpańska „guerilla” przeciwko wojskom Napoleona, wspominał bitne, ruchome oddziały burskie, które w latach wojny 1899—1902 r. przeciwstawiały się z powodzeniem dwustu pięćdziesięciu tysiącom żołnierzy brytyjskich. Czy mogliby gotowi na wszystko ludzie — pisze H. St. G. Saunders w „Zielonym berecie” — uzbrojeni jedynie w taką broń, jaką sami mogą udźwignąć, gardząc artylerią, transportem i wszystkimi innymi środkami zaopatrzenia, czy mogliby oni prowadzić guerillę przeciwko nieprzyjacielowi, którego siły rozciągają się od Narviku po Pireneje? (wszystkie tłumaczenia z angielskiego — M.D.) Dodajmy od razu, że odpowiedź na pytanie płk. Clarka dawał już od szeregu miesięcy w Polsce fakt działalności Oddziału Wzdzielonego

Wojska Polskiego majora Hubala, oddziału, który miał ulec ostatecznemu rozwiązaniu dopiero w ostatniej dekadzie czerwca.

Otóż myśl o utworzeniu oddziałów typu „commando” (wyraz jest podobno pochodzenia hiszpańskiego i w swej warstwie znaczeniowej zbliża się do określenia „guerilla”) nawiedziła jakoby Clarka dokładnie 4 czerwca 1940 r. późnym wieczorem w ostatnim z dziesięciu dni Dunkierki — w jego mieszkaniu przy Starton Street w eleganckiej londyńskiej dzielnicy Mayfair. Po czym — jeśli wierzyć innemu brytyjskiemu autorowi — pułkownik zerwał się z łóżka i sformułował swój pogonył w kształcie krótkiej notatki na pojedynczej kartce papieru listowego.

Już następnego dnia Clark zwierza się z pomysłu generałowi Dillowi a ten, 6 czerwca 1940 r. mówi o tym brytyjskiemu premierowi, Winstonowi Churchillowi. Wypadki następują teraz po sobie błyskawicznie: 8 czerwca Dill oświadcza Clarkowi, że schemat jego pomysłu został zaaprobowany. Tego samego popołudnia w War Office zostaje powołana do życia sekcja oznaczona kryptonimem MO9. Jest to oficjalny początek wojsk zwanych następnie komandosami. Dudley Clark otrzymuje rozkaz wykonania wojskowego rajdu na

## „6-th Troop” wkracza do akcji

Mirosław Derecki

drugi brzeg Kanału at the earliest possible moment) najszybciej jak tylko możliwe).

Kadra pierwszych oddziałów komandosów została skompletowana z tzw. „niezależnych kompanii” powstałych w czasie gdy Niemcy zajęli Norwegię. Były one złożone z ochotników armii lądowej i sformowane z myślą o niszczeniu nieprzyjacielskich linii komunikacyjnych. Większość żołnierzy i oficerów rekrutowała się spoza służby czynnej.

Dla wykonania rozkazu o zaatakowaniu Niemców usadowionych nad Kanałem La Manche potrzeba było, poza ludźmi, przede wszystkim odpowiedniego, lekkiego i nie rzucającego się w oczy sprzętu pływającego. Przybyłego w tej sprawie do sztabu Royal Navy płk. Clarka powitano słowami, w których ironia mieszała się z gorczyką: Co? armia lądowa chce już wracać na kontynent i znowu walczyć? To najlepsza wiadomość jaką udało nam się usłyszeć od wielu dni!

Pierwszą akcją komandosów przeprowadzili w nocy z 23 na 24 czerwca 1940 r. w rejonie Boulogne — Le Touquet. Dowodził nią major Tod mając pod rozkazami 120 ludzi. Oddział otrzymał miano II Kompanii Niezależnej. Pół tuzina łodzi ratunkowych RAF, na których komandosi podплыли ku brzegowi francuskiemu, zostało wypożyczone od Ministerstwa Lotnictwa. „Ekspedycja” była uzbrojona m. in. w dwadzieścia pistoletów maszynowych — „tommy-gunów”. Była to... połowa wszystkich tych automatów, jakie znajdowały się wówczas na Wyspach Brytyjskich. Selagano je dla komandosów z Dover, Folkestone i Newhaven. Udany wypad mający — jak większość początkowych akcji komandosów — podniósł przede wszystkim morale społeczeństwa i angielskiego żołnierza, dla którego Dunkierka była bolesnym ciosem, pociągnął za sobą następne. Już w nocy z 14 na 15 lipca 1940 r. komandosi przeprowadzili akcję na wyspę Guernsey leżącą u wybrzeży Normandii. W dwa dni później 68-letni admirał brytyjski, sir Roger Keyes, został mianowany szefem „Combined Operations” — Operacji Połączonych. Zapewniało to komandosom odpowiednią pomoc i współdziałanie przede wszystkim ze strony marynarki wojennej. Admirał Keyes rozpoczął organizowanie szeregu Command, które z czasem zaczęły rozrastać się w wielkie kilkusetosobowe oddziały podzielone na „troops” intensywnie trenujące zasady nowej walki w specjalnych ośrodkach. Taka organizacja zdawała się być wszelako w pewnej niezgodzie z założeniami Dudleja Clarka...

W lipcu 1940 r. nastąpił podział oddziałów komandosów. Commanda 7, 8 i 11 oddzielony na Srodkowy Wschód, gdzie weszły w skład

tzw. „Layforce”, jednostki pod rozkazami płk. B. K. Laycocka, od którego nazwiska owa „siła” (ang. force) wzięła nazwę. Należały do nich 3, 3, 4 i 11 Commando zostały w Wielkiej Brytanii i to właśnie siłami 3 i 4 Commando przeprowadzono 4 marca 1941 wypad na letnie w rejonie Narviku wyspy Lofoty. Przywieziono z powietrzem 18 jeńców i 316 norweskich ochotników wojskowych, zniszczono na miejscu 11 fabryk i 1 elektrownię. Wysładano w powietrze 5 statków i podpalono 800 tys. galonów ropy. Akcja na Lofoty była wydarzeniem, które stanowiło pierwszy wielki krok do tworzącej się oddział szybko legendy komandosów.

Tymczasem oddziały „Layforce” działały aktywnie na tyłach niemieckich i włoskich wojsk w Libii, operowały w Syrii i na Krete. Po rozwiązaniu „Layforce” szerokim echem odbiła się akcja żołnierzy tzw. „Szkockiego Commanda” utworzonego w Edynie z części „Layforce”. 82 ludzi pod dowództwem samego Laycocka zaryzykowało wypad mający na celu porwanie Rommle. Komandosi zdołali dotrzeć do domniemanej głównej kwatery dowódcy Afrika Korps w Beda Littoria, ale go, oczywiście, tam nie zastali. „Lis pustyni” był daleko, przy swoich oddziałach. Większość uczestników tej śmiałej akcji zginęła lub dostała się do niewoli. Jedynie dwóch, sam Laycock i sierżant Thierry, po 41 dniach niezwykle wyczerpującego marszu przez pustynię, uniknąwszy śmierci z rąk koczowniczych plemion, zdołali dotrzeć do brytyjskich oddziałów w Cyrenajce.

Boże Narodzenie 1941 r. upamiętniło się kolejnym rajdem na Lofoty, m. in. na miejscowości Vaagso. Akcja ta odbyła się już pod kierownictwem nowego szefa Operacji Połączonych. 27 października 1941 r. został nim 41-letni lord Louis Mountbatten. Był to doskonały wybór i komandosi zawdzięczali go samemu Churchillowi. Młody, energiczny, o zdecydowanym charakterze, doskonały sportowiec, dzielny żołnierz i rozważny dowódca, przypadł tym niezwykłym, ale i trudnym do prowadzenia ludziom od razu do serca. Jak pisze jeden z angielskich autorów: W Mountbattenie komandosi znaleźli lidera na miarę ich pokolenia.

Właśnie pod wodzą Mountbattena doszło do najsłynniejszej, najbardziej efektywnej, ale też najbardziej niebezpiecznej i okropnej ogromnymi stratami akcji, słynnego „rajdu na St. Nazaire” we Francji. Przeprowadzony on został 26 marca 1942 r. głównie siłami 2 Commando pod dowództwem płk. Newmana.

St. Nazaire było jedną z największych baz morskich pozostających w rękach niemieckich w tym rejonie Atlantyku. Znajdował się tam ogromny suchy dok mogący pomieścić nawet kolosy tej miary, co pancernik „Tirpitz” i ten fakt spędzał sen z oczu dowództwu brytyjskiemu. Gdyby „Tirpitzowi” udało się przedrzeć z wód norweskich do St. Nazaire leżącego głęboko i bezpiecznie w delcie Loary, znalazłby tam doskonałe warunki do wypadów na Atlantyk i bezlitosnego gromienia konwojów idących z Anglii ku Gibraltariowi. (Wszak już zatopiony, 27 maja 1941 r. „Bismarck” próbował przemknąć się właśnie do St. Nazaire). Nie wiadomo, niestety, że po rajdzie na Vaagso Hitler ani myślał o wysłaniu „Tirpitz” w stronę ujścia Loary.

Akcja komandosów miała na celu zniszczenie suchego doku w St. Nazaire oraz cel dodatkowy: rozbić betonowych kryjówek i doków niemieckich U-boatów. Rajd zaplanowano niezwykle dokładnie, co do minuty. Sam Mountbatten wyraził się w trakcie przygotowań: To nie jest zwyczajny rajd, to cała operacja wojenna. Operacja udala się: nafażerowany materiałami wybuchowymi stary niszczyciel „Campbelltown” wysadzony w odpowiednim czasie w powietrze, zniszczył doszczętnie wrota monstrałnego doku. Atakujący port i niemieckie posterunki podpluwający zewsząd na łodziach motorowych komandosi zadali nieprzyjacielowi ogromne straty, ale też prawie nikt z biorących udział w głównej akcji nie powrócił wtedy do bazy.

W niespełna pół roku później, w próbnym i bardzo nieudanym lądowaniu aliantów pod Dieppe w nocy z 18 na 19 sierpnia 1942 r. odznaczyły się wielką bohaterstwem i ofiarnością oddziały 3 i 4 Commanda. Dla nas ma znaczenie jeszcze jeden szczegół: pod Dieppe walczyła też niewielka grupka żołnierzy z 10-th Inter Allied Commando (10 Międzyalianckiego Commando) w którego skład miała wkrótce wejść — powołana rozkazem gen. Sikorskiego 28 dnia 28 sierpnia 1942 r. — „6-th Troop” szóstka, polska, kompania komandosów.

Tymczasem polskie wojsko reprezentował pod Dieppe walczący z wielką śmiałością niszczyciel „Ślązak”.

Komandosi wracali spod Dieppe mocno wykrwawieni i w złych humorach. Jezu Chryste, sir — powiedział jeden z nich do swego dowódcy — to było prawie tak samo podłe jak Achnacarry.

Achnacarry to nazwa słynnego obozu treningowego komandosów, gdzie każdego dnia instruktorzy dawali im potężnie a bezlitośnie „w kosę”.



# Kooperacja bez informacji

Maria Bechcyc-Rudnicka

**Z**AISTE paradoksalne kontrasty rodzi niekiedy odmienność czasu i miejsca. Pamiętam bowiem, jak w 1973 r. kolegium redakcyjne biuletynu VIII Lubelskiej Wiosny Teatralnej apelowało z patosem: *Dziennikarze! Piszcie o festiwalu dużo i ciekawie!* A oto w październiku roku 1978 kolegium redakcyjne BIULETYNU Międzynarodowych Spotkań Teatru i Sztuki Otwartej we Wrocławiu zamieszcza na swych kolumnach rozważankę pt. „O krytyce pragmatycznej”, którego autor, życzliwy obserwator prezentacji namawiający krytyków, by starali się zapomnieć o swym znawstwie, formuluje w końcu taką definicję krytyka pomocnego artysty i widza: *Krytyk pomocny milczy — długo milczy. Obserwuje, zmienia, dostosowuje i czasem decyduje się przemówić — jeśli jest ku temu dogodna okazja.*

W przypadku wyżej wymienionych spotkań autor wynurzeń biuletynowych dochodził wszak do krępującego wniosku: *OLESNICA jest taką okazją — to właśnie jest NADZIEJA.* Cóż, kiedy mimo sugerowanej okazji — *NADZIEI*, jeden z naszych czołowych krytyków zawołał podobno po przeczytaniu wzmiankowanej tu wypowiedzi: *Nareszcie ktoś mi wymyślił ideologię do niepisania. Dziękuję...*

Zart żartem, pozostaje jednak na serio smutny fakt: gros dziennikarzy milczy — długo milczy o OLESNICY — *NADZIEI*... z tej prostej przyczyny, że ich owa okazja przemówienia ominęła.

W tym miejscu czytelnikowi nieorientowanemu w losach wrocławskich spotkań teatralnych należy się wyjaśnienie, iż wobec rozczarowania, jakie przyniosło w zakresie treści i formy pokazy V Międzynarodowego Festiwalu Teatru Otwartego, jego organizatorzy — grupa skupiona wokół „Kalambyra”, z Bogusławem Litwińcem na czele — postanowili zrezygnować z akcji festiwalowej w dotychczasowej jej postaci. Po trzyletniej pauzie międzynarodowe spotkania teatru otwartego zostały teraz wznowione, ale z zastosowaniem innej struktury — dwuczęściowej, której część pierwszą, pod nazwą: *INTEGRACJA — KOOPERACJA*, odbywała się w podwrocławskim miasteczku Oleśnicy, a druga: *PREZENTACJE* — we Wrocławiu.

Oleśnicka *INTEGRACJA — KOOPERACJA* niewątpliwie odświeża akcję festiwalową, toteż na pewno byłaby doceniona przez prasę, gdy-

by nie to, że przed ogółem dziennikarzy akredytowanych przy tegorocznych Spotkaniach Teatru Otwartego („Otwartego”) Oleśnicę — zamknięto, skoro oferta akredytacyjna wyraźnie zaznaczała: *Pierwsza część Spotkań odbędzie się (...) w gronie samych uczestników.*

Rezultat — „defetystyczny” przeważnie ton relacji z imprezy dzielnych wrocławian, albowiem *PREZENTACJE*, jedyny udostępniony człon Spotkań, okazały się nieciekawsze od festiwalu r. 1975.

Zastanówmy się przecie, co mogło spowodować tak zasadniczy błąd organizacyjny, jak niedopuszczenie ochotników z ogółu przedstawicieli prasy — do bardziej interesującej bo nowej, części spotkań.

Lista akredytowanych dziennikarzy zawiera około osiemdziesięciu nazwisk. Ponad 1/3 tej liczby stanowią nazwiska publicystów zagranicznych. Niektórzy z nich przyjechali prawdopodobnie razem z zespołami swoich krajów i ci, przypuszczam, trafili do Oleśnicy. Czyżby tedy krajowy tłumek dziennikarski był aż tak wielkim balastem organizacyjnym? Bo jeśli chodzi o względy finansowe, to przecie redakcje pokrywały koszty pobytu swych delegatów na Spotkaniach. Ostatecznie dzień — dwa w Oleśnicy (może zresztą ujęte od pobytu we Wrocławiu) nie stanowiły dla redakcji problemu.

A jeśli z kolei założymy, że na omawianej sprawie zaważyła troska o całkowitą „swobodę” uczestników, tj. ochrona przed natrętnym okiem jakiegoś obserwatora-sceptyka, to w takim razie powstaje pytanie, dlaczego *INTEGRACJA — KOOPERACJA* z krytykami ma być mniej ważna od *INTEGRACJI — KOOPERACJI* z publicznością?

Żeby przynajmniej dostarczyć tym utrapionym krytykom odrobinę opracowanych rzetelnie na piśmie danych dotyczących prac i wydarzeń oleśnickich. Ale gdzie tam! Zostaliśmy skazani na wyluskiwanie przygodnych wiadomości z rozwichrzonych stron Biuletynu, którego Kolegium Redakcyjne (składają pracownicy i sympatycy) traktowało swe zadanie po trosze jak u cioci na imieninach, obniżając dość niewybrednym figlarstwem — rangę przedsięwzięcia bardzo odpowiedzialnego i koniec końców (twierdził to z całym przekonaniem) nader potrzebny, stanowiący załączek akcji „z przyszłością”.

Mówię to wszystko, proszę mi wierzyć, nie z pozycji żądzy lubującej

się w rekryminacjach. Zależy mi istotnie na dobrej stawie eksperymentu oleśnickiego. Oczywiście nie jest on absolutnym novum. Integracji i kooperacji z widzami próbowal nie od dziś ten i ów zespół studencki, a przecie i zawodowy — w przedstawieniach granych *en rond*. Do kooperacji łódzkiego Teatru 77 ze szwedzkim Teater 9, której rezultatem było pokazane we Wrocławiu „Skrzyżowania” (tytuł przypominający mi spektakl moskiewskiego Teatru na Tagance), došlo już w sierpniu r. 1977 we wschodnim regionie Polski, w wiosce Tykocin po uprzedniej wizycie łódzian w Szwecji. Tak jest. Ale dopiero w Oleśnicy po raz pierwszy próbowano urozmaiconych postaci owej kooperacji i na większą skalę międzynarodową. A więc już sam fakt stworzenia szansy takiego współdziałania, jakkolwiek by mało efektywnie mogła ta szansa być wykorzystana przez mniej aktywne grupy, powtarzam — już ona sama stanowi niewątpliwą zasługę inicjato-

I tu wreszcie podchodzę do zasadniczego celu zarówno mych zarzutów pod adresem wrocławskich organizatorów MSTISO, jak i nagłych pochwał adresowanych do tychże działaczy. Otóż w czasie wyżej wspomnianej konferencji prasowej padło z ust Komisarza Generalnego Spotkań, Bogusława Litwińca, zapewnienie, że organizatorzy rozporządzają bogatym materiałem zebrany w dekadzie oleśnickiej, tudzież że mają niezłomny zamiar opublikowania tych materiałów w specjalnej księdze. W związku z tym wysuwam zdecydowanie twarde postulaty ekspresowej realizacji zadeklarowanego zamierzenia, by nie dochodziło na przyszłość do takich nieporozumień, jak to, które miało miejsce niedawno w „Przekroju”, gdzie jeden z najwnikliwszych i najrzetelniejszych naszych krytyków, zdenerwowany różnymi przejawami *DEZORGANIZACJI* podczas wrocławskich *PREZENTACJI*, spisał na stratę całą imprezę.



Balres

Fot. L. Meisel

ra akcji. Bogusława Litwińca, i jego kooperantów.

Osobiście, wierzę w dobry ciąg dalszych poczynań oleśnickich. Wiara moja zrodziła się z konkretnych wiadomości, jakie udało się uzyskać od kilku uczestników akcji, pociągający ich, że tak powiem — za język na konferencji prasowej. Gdy bowiem poprosiliśmy o zwyczajny, dokładny opis dnia roboczego w Oleśnicy, usłyszało się o niejednej niebanalnej inicjatywie poszczególnych grup „otwartych”, jak na przykład wspólne opracowywanie z pewną rodziną — działaczą „teatralnych” w oparciu o tematy z jej życia. Osiągnięte przy tym wyniki nie dają jeszcze, rzecz prosta, powodu do euforii, są to sukcesy w dołach mikroskopijnych, ale któż nie wie, że z pestki oliwki może wyrosnąć drzewko oliwne? A więc po raz drugi brawo dla działaczy „Kalambyra”.

Ale, ale, cóż jednak o tych *PREZENTACJACH*? Ano, to i owo zostało już opisane bądź pokazane przez rozliczne publikatory. Temat jest już właściwie nieaktualny. A więc tylko pobłażając sobie napomknę pobieżnie, że z obejrzanym przeze mnie przedstawieniem (zastępnym) „Tytusa Andronicusa” w wykonaniu zespołu Triple Action Theatre (Wielka Brytania, Mansfield), „Les troubadours” — prezentacja Centre Dramatique de la Courneuve (Paryż) oraz popisy zespołu Divadlo na Provazku z Brna. Zebrały one zresztą większość „głosów”.

A że w ogóle kryzys teatru „otwartego”? Sprawa ta wymaga szerszego omówienia nie tylko na bazie jednostkowego przykładu spotkań wrocławskich.

**R**ECENZOWANY przeze mnie w poprzednim *Notatniku* recital Bogny Sokorskiej był zaledwie uwerturą do październikowej rewii nazwisk wiele obliczających. Inna sprawa, że obietnice te nie zawsze były dotrzymywane; trzymajmy się jednak chronologii zdarzeń.

Na początek troje pianistów. Miłosz Magin, bez wątpienia jeden z najciekawszych polskich pianistów, laureat konkursów Marguerite Long i Jacquesa Thibaud oraz Viana da Motta, wybitny chopinista, przedstawił nam własny *III Koncert fortepianowy*. Utwór to bardzo trudny, stawiający wysokie wymagania zarówno solście, jak i orkiestrze. Mimo niewątpliwie wirtuozowskiego rozmachu partii fortepianowej koncert ten odznacza się umiarkowaną precyzją konstruowania dialogowych napięć między instrumentem solowym a poszczególnymi grupami orkiestry. Największe wrażenie zrobiła na mnie brawura i bogactwo brzmieniowe cz. II (*Allegro*) oraz efektowne finałowe *Allegro con fuoco*. Pochwała należy się i orkiestrze prowadzonej przez Ryszarda Komorowskiego. Pozostała część wieczoru wy-

pełniły także utwory polskich kompozytorów: *Cztery nowele na orkiestrę kameralną* Tadeusza Bairda oraz *Divertimento* Feliksa Janlewicza, z którego wybrano fragmenty *Six pieces for piano, violin et basse* przez Andrzeja J...

W cyklu „Mistrzowskie recitale” wystąpiła Regina Smendzińska. Był to recital w

pełni zasługujący na miano mistrzowskiego. Oczywiście, każde wykonanie utworów Chopina przywodzi na myśl tzw. tradycję interpretacyjną, niekiedy dość natrętnie atakująca pamięć w trakcie słuchania. Tym trudniej oćmić sine ira et studio letowny walec poloniza esy esudy, słyszanych przecież wiele razy. Można więc zgłosić zastrze-

żenia do Kołysanki Des-dur op. 37 — bo nikt nie dorówna Józefowi Hofmannowi, który na nowojorskim recitalu jubileuszowym grał ją *doppio movimento*, w pulsującym rytmie, z figuracjami nie zamazanymi pedalem i — jak słusznie podkreślono — z owym niedostrzeżonym przez Chopina bicciem zegara na końcu. Można lechutko skrytykować Walce, bo nikt ich nie zagrał tak genialnie, choć w sposób idealnie „przetoczony”, jak Dinu Lipatti: *Bolide As-dur* op. 47, z której tylko Rubinstein umiał wydobyc tak potężny ładunek prawdziwej poezji; skrzywić się na *Esudy*, bo każda z nich w nagraniu Polliniego (1972 r.) znaczy więcej, niż cały recital niejednego pianisty. Wielka tradycja chopinowska utrudnia w tej sytuacji sformułowanie wyważonego sądu. Gdybym miał najkrócej określić grę Reginy Smendzińskiej, nazwałbym ją wyrozumowaną — może chwilami nawet wysekułowaną — w najdrobniejszych szczegółach. Klasycyzyczna niemal równowaga między elementem zewnętrznym, wirtuozowskim a wnikliwością odczytania formalnej konstrukcji utworu, dynamika gry i wierność intencjom kompozytora — oto sekrety znakomitego Poloniza-Fantazji As-dur op. 41 oraz Mazurki: C-dur op. 34 nr 2, gis-moll op. 32 nr 1 i cis-moll op. 30 nr 2.

Tadeusz Kerner — pianista polski mieszkający w USA — jest uczniem Kozyłowskiego

## NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch



### „Polonia w Belgii”

**W** SERII „Z dziejów Polonii” Lubelskie Towarzystwo Centralne Kulturalno-Oświatowe UMCS wydało kolejną pozycję o charakterze monograficznym, traktującą o „Polonii w Belgii”, a napisaną przez Marcą Zmigrodzką, młodą pracowniczkę naukowego wspomnianego uniwersytetu. Publikacja nie posiada tak efektownej szaty graficznej, jak poprzednie z tej serii, liczy zaledwie około 100 stron tekstu, ale w płaszczyźnie merytorycznej, warta jest uwagi zarówno badaczy środowiska polonijnego, jak i osób bardziej amatersko pasjonujących swoją wiedzą o świecie.

Rzuca się przy tym w oczy, że rekonstruując historię emigracji polskiej do Belgii autor zachował własne propozycje, nie mające sprawy ciążeniem i ekspozowaniem nazwisk Polaków, którzy przypadkowo i krótko pojawili się w wymiennym kraju. Owszem, dowiadujemy się z pracy o Janie z Polski, który podobno jako pierwszy nasz rodak osiadł w Lewanum w połowie XIII wieku, ale fakt ten nie odgrywa większej roli w wywodach Zmigrodzkiej. Można jednak żałować, że brak źródeł archiwalnych i innych dokumentów zmusił autora do skrępowania tylko przedstawienia faktycznych początków polskiej emigracji do Belgii, związanej z upadkiem powstania listopadowego, kiedy to bodaj 200 osobowa grupa byłych powstańców pojawiła się w Brukseli i innych miastach kraju, wydalona z Francji i Szwajcarii ze względów politycznych. Przyjmujemy, że w tym czasie Belgia, po wielu stuleciach niewolnolenderskiej, odzyskała stopniowo niepodległość, do czego pośrednio przyczynił się wybuch powstania w Warszawie. Rzecz w tym, że próbując tłumaczyć zryw wojaczkowy Belgów, król Holandii zwrócił się o pomoc m.in. do cara Mikołaja I, który zaczął się sposobić do wyprawy na Zachód. A trzema ekspedycją miała być armia polska. Władomość o tym przypięszyła powstanie listopadowe, które zwiadczyło omyłkowanie w tej części Europy.

Pierwsza liczebniej grupa emigrantów polskich składała się przede wszystkim z oficerów, ich rodzin i inteligencji. Ci pierwsi zostali chętnie i szybko przyjęci do armii belgijskiej, ale w późniejszych czasach musieli zrezygnować ze służby pod presją władz carskich na belgijskie.

Stosunkowo duża grupa Polaków pojawiła się w Belgii także po upadku powstania styczniowego.

Najwięcej miejsca w książce Zmigrodzkiej zajmują dzieje emigracji dwudziestowiecznej, mającej charakter ekonomiczny. W jej skład wchodziły Polacy wyjeżdżający za chlebem i Galicją, a po pierwszej wojnie światowej — także z niemieckiej Westfalii i Nadreni. Wyjątkowo dużo naszych rodaków — z Krakowskiego, Łódzkiego i Poznańskiego — pojawiło się w Belgii w latach dwudziestych, mian. na mocy porozumienia rządów w Brukseli i Warszawie.

Z reguły Polacy pracowali w kopalniach, w trudnych warunkach, bez możliwości uzyskiwania wyższych stanowisk kierowniczych, ale zarabiali stosunkowo dobrze. Przy końcu 1928 roku środowisko polonijne liczyło prawie 62 tys. osób, skupionych głównie w czterech prowincjach: Namur, Liege, Limburgi i Brabantu.

Dzieje Polonii w Belgii doprowadza Zmigrodzki do naszych czasów, przedstawiając m.in. aktywny udział Polaków w ruchu oporu podczas okupacji niemieckiej i okoliczności, które miały wpływ na złożony profil wychodźstwa po drugiej wojnie światowej. Sporo miejsca autor poświęca życiu organizacyjnemu, kulturalnemu i oświatowemu polonijnemu, która od dłuższego czasu przechodzi wyraźny kryzys.

Naczelna chyba ziemia pracy jest rzetelnie wykazane politycznego skomplikowania emigracji, korzeniami sięgającego jeszcze lat międzywojennych, kiedy to obok związku Polaków (od 1923 r.), ZHP, „Sokoła” czy towarzystw różnorodnych, a więc organizacji antyleniwicowych i współpracujących z Warszawą, działały Polskie Grupy Komunistyczne Partii Belgii, a po drugiej wojnie — opowiadają się za programem Polski Ludowej Centralna Rada Narodowa, której przewodniczył Edward Gierak, przebywający w Belgii od 1947 roku i pracujący w kopalni węgla.

W sumie: Marek Zmigrodzki napisał polityczną ksiązkę, obiektywnie oddając stan polonijnego życia.

IJK

**W** PAŹDZIERNIKOWYM numerze „Nowych Książek” Artur Sandauer wypowiedział się w wywiadzie na temat ostatnich wydarzeń poetyckich. Uczynił to z właściwą sobie skłonnością do przerysowywania konturów, skutkiem czego nie uniknął sprzeczności. Mówi np., że współczesnemu poecie chodzi „o to, by być odkrywczym w każdym słowie”, następnie przedstawiając główny rys praktyki poetyckiej stwierdza, że „maniera zastępuje indywidualność”. Czyli: tyle manieryzmu, ile go widać we współczesnych wierszach jawnie wskazuje na tendencję do poszukiwania nowych

no tak. Można owego zapraszania w nieznane zwrócić Sandauer niedokrytemu jeźdźcy, być może chodzącemu po Polsce poecie, który spełnia warunek nowatorstwa. Nawet ów nieznany konkretyzuje się w końcu w określoną postać o wyraznym imieniu i nazwisku: Alina Biernacka. Pięknie. Tylko zapomniałszy o rodzaju posłannictwa, jakie sam współczesnemu poecie nadał, rekomenduje Sandauer twórczość Biernackiej słowami: „Oddaje ona z dużą dozą autoironii sytuację dalszej kobieci, połączenie w jednej osobie intelektualistki z gospołą”. Przypomina się aria: „I ty mu wierzysz biedna dziewczyno”.

## LOGIKA I NOMINACJA

Zygmunt Mikulski

wartości. W dodatku tak scharakteryzowaną współczesną poezję bierze w obronę przed niechęcią czytelników, którzy zarzucają jej dziwaczność. Logiczne? W obrębie tego klimatu myślenia o zjawiskach literackich, w którym nie chodzi o adekwatny obraz, ale o autorytatywną, choćby nietrafną diagnozę — na pewno tak.

Mówi Sandauer, że twórczość współczesnego poety zaprasza czytelnika „do wspólnej podróży w nieznaną”. W tym sensie zatriumfowała Awangarda. Wielkie nieba! Awangarda w nieznane? Od razu przypomina się gwałtowna napasę Przybosia na tę postawę symbolistów, która według Rimbauda polegała na wyrażaniu niewyraźnego. Przybosiusz odrzucił: „Bądźmy ambitniejsi, wyrażajmy wyraźne”. Awangarda, która całą ambicją swojej racji stanu akcentowała wymierność świata i słowa, postulowała jednoznaczność ingerencji w rzeczywistość społeczną i cywilizacyjno-techniczną obdarzona została filicjami z romantyzmem i Młodą Polską? Peiper przewraca się w grobie. I któż w końcu organizuje tę podróż w nieznane: autorzy krzykliwych manifestów, wyraziście płynięcej myślowej, członkowie grup wędrujących na arenę z towarzyszeniem tarabanów? Przecież to są określenia Sandauera. Czyli — znowu logika.

W dodatku nazywa Biernacką — w przeciwieństwie do Anny Janko — realistką. (Mała dygresja. Rzeczownik ten Sandauer ujmuje w cudzysłów, tłumacząc, że go nadużyto. Ha. Albo to jedno Sandauerowskie użycie jest trafne i wtedy cudzysłówu nie potrzeba, albo Sandauer używa tego terminu w znaczeniu mylnym i powszechnie stosowanym, a wtedy potrzebne jest sprostowanie dotyczące posługiwania się tym terminem, a nie odkręcanie jego znaczenia przy konkretnej okazji. Bo jeśli Janko nie jest „realistką”, to jest realistką — a tego Sandauer nie chciał powiedzieć.)

Popatrzmy: „Nie dotykaj mnie tak delikatnie /bo erotyk będzie banalny/ /Uderz/ spłuń na podłogę /spij się/ bo przecież nie ma sensu /biografia bez wojny/ /Ma być nam mdo/ brudno /charczaco/ i egzystencjalnie”. To Janko. Nie — realistka. Więcej oryginalności w kryterium niż w poezji.

Jeśli już pozostawimy na uboczu kwestię czy do rozumienia tego wiersza potrzebny jest wysiłek (jaki? „uderz”, „spłuń”, „spij się” — to mi z trudnością przychodzi zrozumieć?), pozostaje pytanie dlaczego o tym wysiłku w ogóle przy poezji jest mowa. Powinno się wysilać wtedy, kiedy kupię sobie podręcznik fizyki jądrowej i nie bacząc na spustoszenie przez niepamięć resztek

wiadomości szkolnych na próżno będą się starał coś z niego pojąć. Ale nie wtedy, kiedy kupię tom pierwszy. Po pierwsze — nie przesadzajmy, że młody autor tak wiele skomplikowanych rzeczy ma mi do powiedzenia, że muszę go czytać z mokrym ręcznikiem na głowie, a po drugie — toż właśnie zadaniem poety jest przedstawić swój świat przemyśleni i przeżyć w kategoriach intersubiektywnych. Będąc czytelnikiem służę mu jako tabuła rasa. Niech pisze. Tylko swoje nieumiejętności wyrażania niech nie przerzuca na moją odpowiedzialność. Bo moje „nie”, niekiedy musi wynikać z nieosiągnięcia kwalifikacji czytelniczych. Może wynikać — na odwrót — z czytelniczego doświadczenia. A może i co nieco krytycyzmu szanowny poeta oraz szanowny recenzent zechcełby mi przyznać? Sloganem, że współczesna poezja jest trudna, zamyka się dyskusję by nie wyszło na jaw, że jest równocześnie niedorzeczna, pretensjonalna zmistyfikowana.

„Współczesnemu poecie nie o to już jednak chodzi, by zakłamać czytelnika magicznym rytuałem wersyfikacji”. No tak. Biedny Gałczyński, Lesmian, Lechoń. Niczego nie mieli do powiedzenia, niższego nie wyrazili. Co najwyżej łapali największe na „magiczny rytuał”.

On to rzekł, czy rzekł księżyce, czy woda to rzeka.  
Padłem głową ukrywszy rękami obłama:  
„Nie ma nieba ni ziemi, otchłani ni piekła.  
Jest tylko Beatrixcze: I właśnie jej  
nia ma...”  
(Jan Lechoń: „Spotkanie”)

Czy to coś mówi? Skądże, mówi natomiast to:

Wszystko może być  
poezją — i to prawda — mówi  
twoja żona — jej pierz odcięte  
metafory — lingwizm  
jej ust — wieloznaczny  
pielgrzym — z nocą wśród nas — i  
tygrysić — anonim — z mitu

(Jan Krzysztof Adamkiewicz: „Rzecz o poezji”)

Słusznie. Jak tu nie wymagać wysiłku od czytelnika, skoro autor sam sobie trudu nie zadał. A że na takim materiale wysiłek jest jałowy, to inna sprawa. Zresztą korzystna. Bo umożliwiła wybitnemu krytykowi wciąż uprawiać „magiczny rytuał” egzegezy. Jemu, posiadaczowi formułek nominacji na nowego Rimbauda in blanco, na których z każdym sezonem może wypisać nowe imię i nazwisko.

## PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Do osobowości jakich nam obecna nieprzekraczają ciepła, jesien dostarcza zaledwie należy świeże fiołki, których bukiet, gdy to posłuszny, leży przed nami. Fiołki te pochodzą z ogrodu w Lublinie p.p., w którym to ogrodzie zakładają także korywale, a ille wyposzczyły młode pędy. Patrząc się na te o-

bowości mieć może. Ze znajdujemy się podczas wiosny, a nie w miesiącu grudniu, w chwili gdy już wry tygodnie dzieł nas od święta Bożego Narodzenia, gdy innymi laty o tej porze saneczkarostwami już na dobre, albo też otulali uszy od przejmującego zimna. Działaj prawie nie wydobychmy jeszcze futer z letniego schowania. Ciężymy się więc, że jeszcze nie zaskoczyła nas zima, lecz czy to samo powieść nam rolnicy, którzy nie mogą dać rady wybudujmy ozimom. Koszą je i wypasają inwentarzem, lecz mimo to wysłona roślinna ile wroży o przyszłorocznym plonie. Drzewa także zbyt długo wystawione na silniejsze kłaczenie soków, że już nie wspomniemy o ich kwitnieniu i związkach jak to się widzieć zdarza, nie obiecują obfitego urodzaju owoców.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

● Już drugi rok płynię jak powstało Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które przez ten czas rozwinęło bardzo żywą działalność, czy to zarządzając szereg odczytów, czy to podejmując akcje wydawnicze, czy też organizując pracę naukową na terenie Lublina przez rozbudowanie wewnątrz, przed komisją naukową, czy też budując świadomość wartości rodzinnego dorobku i pracy dla całości Państwa, wydając przez siebie organ Komisji Regionalistycznej „Towarzystwa

Przyjaciół Nauk „Region Lubelski”. Zaczęło się początkach swojej działalności zwrócić się Towarzystwo do społeczeństwa z apelem o poparcie zamierzeń jego. Apel ten odbił się doniosłym echem i dzisiaj już może się ono pochwycić przeszło trzecią setką członków.

● Korzystając ze względnej pogody Wydział Budownictwa Magistratu Lubelskiego w dalszym ciągu prowadzi roboty drogowe. Roboty te przeprowadzane są w Alejach Racławickich. Obecnie układana jest szosa prowadząca do tymczasowego ruchu kołowego — do czasu uloženia jezdnii. Po ukończeniu robot regulacyjnych przy Al. Racławickich rozpoczęta zostanie budowa nowej ulicy (podobno Aleja Zgody) idącej w kierunku Rur Jezuskich. Ulica ta będzie jedną z najszerszych (ok. 30 m) w Lublinie, a jej przeprowadzenie stanowić będzie zaczątek realizacji wieloletniego Lublina. Przy tej ulicy staną najwspanialsze gmachy Lublina, w których mieścić się będą urzędy i instytucje państwowe. Obecnie jest już na ukończeniu budowa Domu Oficera, obok którego wznoszą się fundamenty pod gmach Urzędu Ziemskiego. W trójkącie utworzonym przez Uniwersytet i zabieg nowej ulicy z Al. Racławickimi powstanie obrotym gmach Urzędu Wojewódzkiego.

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

Neubausa. Z przykrością należy stwierdzić, że sporo już zapomniał z tego, co mógł mi przekazać ci dwaj mistrzowie. Koncert D-dur op. 71 Josefa Haydna, utwór ślaczego dzieła dydaktyczne, w interpretacji Kernera „rozypał się jak domek z kart” (artykulał okrzestując T. Kaleskiej). Koncertu Es-dur Liszta słuchałem z ucuciem przynajmniej zniechęcenia i zniecierpliwienia: jak można lekceważyć najbardziej elementarne właściwości Lisztaowskiego stylu, nie sobie nie robić ze wskazań dynamicznych, grzesząc przy tym brakiem precyzji i niedostatkiem brzmienia? Wydaje się, że kluczem do tej zagadki były grane na bis „morczusz Gershwina, techniczne stylem, ,,reslowo-gastronomicznym. Niespodziewanie więc cja wieczoru stała się Abschied-Stonfonie Hs-moll op. 43 Haydna z uwagi na przepięny dźwięk orkiestry, przezczystą koncepcję dyrygenta (Josefa Radwana) i zgodną z prawykoniem „apreciacją” i fi-nalowego Adagio.

Ważki powyższe, podyktowane bynajmniej nie przez głębiwość, dedykuję tym wszystkim, którzy skłonni są słuchać artysty za granicą. Przykładem dytyrambu „na cześć Kernera pióra recenzenta, podpisującego się (Iuc), który jakoby nigdy nie słyszał lepszego wykonania Koncertu Es Liszta. Powszednio, że nie słyszał, ale przecież podobne refleksje mogą zdarzyć kocio, kto

był na koncercie. Notabene powrot recenzenta (Iuc) powitać trzeba z uznaniem — bo o dobrej muzyce nigdy za wiele! — a mając w pamięci jego wcześniejsze dokonania, ze szczególną uwagą będziemy czytać artykuły tym kryptonimem sygnowane.

Mam nadzieję, że czytelnicy wybaczą mi ten „wykład polemiczny”, i wracają do rzeczy. Ostatni w październiku koncert symfoniczny rozpoczął prawykoniem Ad cisentyca utalentowanego lubelskiego kompozytora, Mieczysława Marzuka. Z kolei Klara Körmenčí, jedna z najciekawszych pianistek węgierskich młodego pokolenia, przedstawiła Koncert fortepianowy Es-dur Jana Sebastiana Bacha. Koncert ten, jeden z mniej znanych w dorobku lipskiego kantora, powstał w latach 1720—33 jako transkrypcja (prawdopodobnie) zaginionego koncertu skrzypcowego. Zabiegów tego rodzaju dokonywał kompozytor przyznaglany aktualnymi potrzebami solistycznymi i pedagogicznymi. Kórmenčí mogła się najbardziej podobać w częściach wioynych, gdzie wyeksponowała piękno bachowskiej harmoniki i bogactwo linii melodycznej. W Siciliano natomiast „trudności” sprawiła jej uporanie się z nieszczęśliwym (pod względem rytmicznym) prowadzeniem orkiestry.

Koncert skrzypcowy D-dur op. 71 Brahmsa słyszaliśmy w ubiegłym sezonie w inter-

pretacji Wandy Wikomirskiej. Z wielką ciepłością oczekiwałam więc wykonania tego arcytrudnego utworu przez Teresę Głabównę, której jestem zaprzyjciogim zwolennikiem od czasu paniolnego koncertu d-moll Sibeliusa. I nie zawiodłam się. Niezwykłe zażyłości techniczne solistka pokonywała po mistrzowsku (np. w kadencji wstępnej Allegro non troppo), dając jednocześnie pokaz wrażliwości i głębokiego zrozumienia tego, co dla Brahmsowskiego stylu najbardziej istotne, a tak rzadko dające się usłyszeć. Od dramatyknej części i poprzez refleksyjne, serenadopodobne Adagio aż do pogodnego, „irrującego” Ronda Głabówna potrafiła subtelnie zarzyć to, co we Francji nazywają le paysage spirituel dzieła. Trzeba zaznaczyć, że instrument na którym grała tego wieczoru nie odznaczał się szczególnie nośnym i efektywnym brzmieniem; gdyby nie ten mankament, satysfakcja słuchaczy byłaby zupełna. Dyrygent (Ryszard Komorowski) i orkiestra, wspomniawszy sobie Koncert Bacha, stanęli tym razem na wysokości zadania.

Z prawdziwą przyjemnością odnotować należy udany debiut zagraniczny powstałego przed rokiem Tria skrefkowskiego Filharmonii Lubelskiej (Andrzej Mazur — kierownik, Jan Arnał — obój, Henryk Bystrzejewski — fagot). Na odbywającym się w dniach 2—4 listopada 1 Miedzianarodowym Konkursie Instrumentów Dętych i Zespołów Kameral-

nych w Antonie lubelskie trio znowowała znaczące sukcesy. Wykonanie transkrypcji Divertimento nr 2, Allegria z motywu Estradate, Jubilate i Marza „alla turca” Mozarta oraz Sonata na trio straconce Spisaka zostało ocenione bardzo wysoko, a w kategorii zespołów trzysobowych nasi muzycy otrzymali najwyższą punktację. W konkursie solistów Andrzej Mazur zakwalifikował się do finału jako jedyny klarnecista spoza Italii, zdobywając wyróżnienie. Wykonał Pierząż w Rapsodie Debussy’ego, Koncert Es-dur nr 1 Webera i Koncert Kurpińskiego. Warto podkreślić, że w programie znalazły się utwory kompozytorów polskich, z których Sonata Spisaka wzbudziła duże zainteresowanie. Trio lubelskie zostało już zaproszone na cykl koncertów we Francji. Z wymienionymi muzykami współpracuje stałe pianistka Marta Sieminska, uczesniczka m. in. konkursu, której im. Feruccio Busoniego w Bolzano, której wbyłite predyspozycje do kameralistyki, na lubelskim mefomaronie dobrze znane, choćby z koncertów SPAM. Niecierpliwie oczekujemy więc powstania się całej czwórki na estradzie Filharmonii.



# KRONIKA KULTURALNA

7 i 8 listopada w Muzeum Wsi Lubelskiej obradował zespół doradców do spraw muzeów skansenowych w Polsce, któremu przewodniczył dr Franciszek Midura, wicedyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków MKiS. Kilkunastu dyrektorów skansenów, etnografów i historyków sztuki dyskutowało aktualne i mocno niekiedy skomplikowane problemy muzealnej opieki nad kulturą ludową, jednogłośnie chwaliąc tempo, rozmach i poziom konserwatorskich prac zmierzających do otwarcia skansenu w Lublinie. O niektórych innych kwestiach poruszonych w trakcie konferencji na blawinku poinformujemy czytelników publikując w jednym z najbliższych numerów pisma przebieg dyskusji redakcyjnej, w której uczestniczyło kilku znawców przedmiotu, m. in. dr Jerzy Czajkowski, dyrektor Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku i od niedawna wiceprezydent Europejskiego Związku Muzeów pod Otwartym Niebem, powołany na to stanowisko jako pierwszy w dziejach tej organizacji przedstawiciel kraju socjalistycznego.

Informujemy — gratulując autorowi — że nasz współpracownik na niwie graficznej, Andrzej Kot, wystawił swoje prace na VIII Biennale Grafiki Reklamowej i Plakatu w Hrabie, jako jeden z 40 Polaków, obok Jana Leniewy, Jana Włodowicza i Marcina Mroszczaka.

Na wystawie eksponowano 1428 prac, a grafika A. Kota pt. „O wróbelku”, prezentowana zresztą swego czasu w „Kamieniu”, trafiła do katalogu imprezy.

Spory sukces odniosła Małgorzata Chudyba z Krasnika, która po trzech rzeszowskich „Jarmarkach poezji” zdobyła „Laur Prometeusza”, czyli pisma społeczno-kulturalnego wychodzącego w mieście nad Wisłokiem. Nagrodzonym utworem jest „Jeszcze tylko Polska”.

W ramach obchodów 60 rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę Oddział Historyczny Muzeum Okręgowego, mieszczący się w Bramie Krakowskiej, przygotował instruktywną i atrakcyjną pod względem kompozycyjnym wystawę. Wystawa daje dobre pojęcie o tym, jak przedstawiali się stosunki społeczno-polityczne i gospodarcze Lublina w latach 1914-1918. Natomiast Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka urządziła ekspozycję o tematyce oświatowej, sugestywnie informującą o przeobrażeniach naszego szkolnictwa od 1918 roku do czasów po drugiej wojnie światowej. Biorąc pod uwagę inne jeszcze fakty, można stwierdzić jednoznacznie, że Lublin godnie uczcił 60-lecie niepodległej Polski.

Z imprez importowanych odnotowujemy: wieczór autorski Ewy Lipskiej w Muzeum J. Czechowicza (do którego otwarcia tak waleśnie przyczynił się niegdyś Tadeusz Kiak, dziś docent w Uniwersytecie Śląskim) oraz występ Tadeusza Kwinty z krakowskiego teatru „Erefo 66”, który w Klubie MPiK przy ul. Leonarda kreował nonodram „Cluuby historii” według prozy Zbigniewa Żaluzkiego, adaptowanej na scenę przez Ryszarda Filipskiego, szefa „Erefo”.

W MPiK-u czynna była w listopadzie wystawa malarstwa Feliksa Sobieraja — Sobieraja i Wacława Sobieraja z Bielska Białego. Literackie, aluzyjne, legitymujące się dobrym warszatem malarstwo dwójki absolwentów łódzkiej wyższej szkoły plastycznej łączy z uwagą słońce ich dalsze poczynania.

Siedemnaście zespołów amatorskich uczestniczyło w wojewódzkim finale konkursu na najlepszą imprezę obrzędową, który odbył się w Łęcznej. Za najlepsze widowisko uznano „Szczodrak” przygotowane przez zespół śpiewaczy oraz kapelę Gminnego Ośrodka Kultury z Poniatowej i Kraczkowick.

## KALEJDOSKOP

### Godzina X

W „Godzinnie X” Jalu Kurka czytamy: „Józef Czechowicz poległ w Lublinie rażony bombą w pierwszym dniu agresji niemieckiej na Polskę”. Czyżby ta agresja zaczęła się 9 września? Dalej: „Czytałem gdzieś, że najbliższy współpracownik Hitlera — Himmler — skazany na śmierć za zbrodnię przeciw ludzkości otul się w cel, przed egzekucją za pomocą mikroskopijskiej kapsułki, która miała ukryć w ustach”. Gdzie to Kurka przeczytał? Wszystkie na ten temat relacje są zgodne co do tego, że Himmler otul się w momencie ujęcia, czyli ani wieszony, ani skazany nie był. W tekście spotykamy też taki passus:

— Która godzina?  
— Za pięć minut ostatnia.  
— Znaczenie wcześniej w wierszu „Pocieszenie” z tomu „Litwka mego życia” Jana Brzechwy znajdujemy:  
— Która godzina?  
— Za pięć minut ostatnia.  
U Kurka cudysłowo nie ma słuszenie, bo co dziesięć minut to nie pięć. Kto mówi o plagiacie?

### Toaleta publiczna

Skoro w sprawie przedstawionej niżej nie skutkują uwagi zgłaszane polgosem, z konieczności uciekamy się do interwencji prasowej. Pewne pomieszczenie w toalecie męskiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie nie ma zamknięcia. W dodatku drzwi mają tendencję odchylania się od futryny, tak więc gabinetowi nawet w momencie korzystania zeń stoi otworem. Czyżby Biblioteka Wojewódzka była publiczna również i pod tym względem?

### Chałtura!

Łącznie z „Bitwą o Midway” w Lubelskim „Kosmosie” mieliśmy

wątpliwej jakości przyjemność obejrzenia zespołu „Bumerang”. Na komentarz szkoda miejsca i czasu. Nie pierwszy to już raz, bo wystarczy wspomnieć niedawny „Rollercoaster”, również połączony z występem. Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe raczą nas czymś podobnym. Naszym zdaniem jest to typowy przykład naciągania publiczności (bilety, wiadomo, stawał).

### Zmiana płci

„Brytania” (nr 4) zamieściła interesującą publikację o znanym piosenkarzu Cliff Richardzie. Tymczasem jednak nie stanęła na wysokości zadania, bo oto czytamy: „W tym samym czasie w Wielkiej Brytanii z Cliffem rywalizował: Marty Wilde (zrezygnował z śpiewania przed piętnastu laty)”. Marty Wilde’a pamiętamy doskonale, chociaż jego gwiazda szybko zgasła: krótko ostrzyżony brunet, bardzo dynamiczny i żywiołowy. Śpiewał z towarzyszącym chórem. Jedne z większych sukcesów to: Little Girl, Rubber Ball, Bleus My Broken Heart, Tymczasem Maria Górka wykazała nie tylko nieznaną sobie owego okresu w muzyce rozrywkowej, ale też nieznaną sobie języka, bowiem Marty to imię męskie. Jest to skrót (prawdopodobnie amerykański) od imienia Martin (polski Marcin). Zeby rozwiązać całkowicie ewentualne wątpliwości pani Górki dodajmy, że żeńskie imię Martha w angielskiej pisowni wygląda tak: Martha.

### Na odwrót

„Żyją dłużej, bo: (...) — dzięki osiągnięciom współczesnej techniki i medycyny coraz mniej ludzi ginie w wyniku urazów, ran, nieszczęśliwych wypadków...” czytamy w „Przekroju” nr 1752. Stwierdzenie to jest co najmniej dziwne. Oczywiście nie mamy zastrzeżeń co do osiągnięć medycyny, ale w związku z rozwojem

techniki (zwłaszcza motoryzacji, ale nie tylko) ginie obecnie wskutek wypadków tak olbrzymia liczba ludzi, że nawet statystyka już „pekają w szwach”.

### Chory mocniejszy

„Czas akcji wykluczał możliwość utrzymania się przy życiu na wodzie o takiej niskiej temperaturze (8 st. C) człowieka zdrowego” podaje „Express Wieczorny” (nr 247), informując o najtragiczniejszej tegorocznej katastrofie morskiej na Bałtyku. Czy należy przez to rozumieć, że człowiek chory wytrzymałby dłużej?

### Ślub Fibaka?

W wielu publikacjach zauważalnym ostatnio niewłaściwie stosowanie słowa „mariaż” do określenia (niby w przenośni) związków, co tylko można połączyć w parę. Zgodnie ze „Słownikiem poprawnej polszczyzny” PWN wyraz ten jest przestarzały, obecnie używany żartobliwie lub ironicznie, a oznacza posłubienie kogoś, małżeństwo a tu np. w „Expressie Wieczornym” nr 245 czytamy: „...W. Fibak występował w debiutu ze swym nowym partnerem, Amerykaninem J. McEntree. Mariaż ten okazał się bardzo udany”. Ongiś prasa donosiła o ślubie dwóch mężczyzn, bodajże w Szwecji czy Danii. Też był podobno bardzo udany, tylko, jak do tej pory, brak potomstwa z tego związku. W naszym języku jest jeszcze mariaż przez „sz”, Ma to samo francuskie pochodzenie, a oznacza parę — króla z damą — w kartach lub jedną z gier karcianych. Coś nam się jednak wydaje, że Fibak i McEntree nie grają w karty, lecz w tenisa, chociaż w końcu obie gry mogą przynieść podobne profity. Z tą tylko różnicą, że w kartach ktoś musi przegrać, żeby ktoś wygrał, natomiast w tenisie: wygrał czy przegrał, i tak zainkasuje forsa.

## KONKURS NA WSPOMNIENIA

W CZASIE okupacji hitlerowskiej ofiarności ludzi dobrej woli nie raz ocalała życie wielu dzieciom. Chcąc upamiętnić te wydarzenia Zespół Konsultacyjny Muzeów Martyrologii (Oświęcim, Majdanek, Stutthof, Łagów) z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka ogłasza konkurs otwarty na wspomnienia dotyczące pomocy udzielanej dzieciom dotkniętym hitlerowskimi represjami.

O wzięciu udziału w konkursie organizatorzy zwracają się do osób, które:

- 1) niosły pomoc dzieciom indywidualnie, lub w ramach organizacji społecznych, charytatywnych i konspiracyjnych,
- 2) z pomocy tej korzystały wówczas jako dzieci,

3) były świadkami udzielanej dzieciom pomocy.

Objętość prac dowolna. Prace już publikowane nie będą brane pod uwagę. Prace konkursowe w dwóch egzemplarzach maszynopisu (wyjątkowo rękopisu), zatytułowane, podpisane i zaopatrzone w dokładny adres autora (którego należy nadysłać pod adresem: Państwowe Muzeum na Majdanku, 29-325 Lublin z dopiskiem na kopercie „Pomoc dzieciom”. Ostatni termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 kwietnia 1979 roku (decyduje data stempla pocztowego).

Autorom najlepszych prac zostaną przyznane następujące nagrody:

- I — 20 000 zł
- II — 15 000 zł
- III — 10 000 zł

Ponadto zostaną przyznane wyróżnienia i nagrody specjalne. Są

konkursowy może wprowadzić zmiany w ilości i wysokości nagród. Niezależnie od nagród autorów, których prace zostaną opublikowane otrzymają honoraria autorskie. Zespół Konsultacyjny Muzeów Martyrologicznych zastrzega sobie pierwszeństwo publikacji nadesłanych prac.

Wyniki konkursu zostaną podane do publicznej wiadomości w czerwcu 1979 roku.

Wszelkie pytania dotyczące konkursu należy kierować pod adresem Państwowego Muzeum na Majdanku.

Zespół Konsultacyjny zwraca się jednocześnie do wszystkich, którzy posiadają jakiegokolwiek dokumenty dotyczące udzielania pomocy dzieciom (podziękowania, listy, grypsy, fotografie itp.) z apelem o przekazanie tych dokumentów Muzeum na Majdanku lub wypozyczenie ich w celu sporządzenia fotokopii.



## „Barwa granatu” i inne

CAŁĄ ostatnią wolną sobotę oraz niedzielę spędziłem w kinowej sali „Chatki Zaka”. Podczas gdy w niedalekim „Kosmosie” ściany trzęsły się od hałasu aparatury „sensurround” na seansach „Bitwy o Midway”, tutaj członkowie studenckiego DKP „Bariera” uczestniczyli w przeglądzie zorganizowanym z okazji Dni Filmu Radzieckiego. Jak zwykle w tym klubie, impreza wypadła interesująco; przegląd poświęcony był kinematografiom republikańskim, a filmy — w większości — wysokiej klasy. Lotewska „Sonata nad jeziorem”, kazachski „Szary okręt”, litewski „Niki nie chciał umierać”, uzbeki „Czekamy na ciebie”. Kinematografię ukraińską reprezentował „Biały ptak z czarnym znamięm”, gruzińską „Naszyjnik dla mojej ukochanej”, armeńską „Barwa granatu”. Wytwórnie „Mosfilm” i „Lenfilm” reprezentowane były przez film znanego aktora, a ostatnio i reżysera, Rodiona Nachapietowa — „Z tobą i bez ciebie” oraz dzieło jednej z najbardziej znaczących przedstawicielek młodego kina radzieckiego, Dinary Asanowej — „Klucz bez prawa przekazania”.

Oczywiście, nie była to pełna reprezentacja. Dzisiaj w Związku Radzieckim działa dziewiętnaście wytwórni filmowych. Nie pokazano nic z ostatnich osiągnięć kinematografii moldawskiej czy kirgiskiej, ale i tak mieliśmy możliwość — dokonując ogromnych filmowych „podróż”: od Wilna i Rygi przez Kijów i Taszkent aż po Alma-Atę — kolejnego potwierdzenia faktu dynamicznego rozwoju zarówno pod względem ilościowym jak i artystycznym tamtejszego kina. Ten rozwój nasilił się głównie w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy w poszczególnych republikach weszło do przemysłu filmowego młode pokolenie reżyserów. I tych wyrosłych z tradycji miejscowych, i innych młodych absolwentów moskiewskiego WGIK-u, znajdujących tutaj możliwość samodzielnej pracy. Objawiał się nagle w nowym ujęciu wspaniały folklor ukraiński, folklor i tradycje kulturowe i obyczajowe republik azjatyckich, specyficzny pejzaż nadbałtycki.

Nowe też było, swoiście odkrywcze spojrzenie młodych reżyserów przybywających z Moskwy czy Leningradu do odległych polaci Związku Radzieckiego, którzy w tutejszym krajobrazie, tradycji, literaturze znaleźli inspirację twórczą. Tak właśnie było choćby w przypadku Andrieja Michalkowa-Konczalowskiego i jego filmu „Pierwszy nauczyciel”, nakręconego w kirgiskim pejzażu, na podstawie opowiadania tamtejszego pisarza Czingiza Ajmatowa. Tymczasem na Ukrainie powstawały nieocenione „Cienie zapomnianych przodków” Siergieja Paradzanowa, w Gruzji rodził się talent Otara Joseliani, w Moldawii — Emila Lotianu.

Czy zdajemy sobie na co dzień sprawę z faktu, że np. w Alma-Atie powstaje rocznie 6 filmów fabularnych, 20-25 pozycji dokumentalnych, że dubbingowi-poddaje się 40 filmów? Czy wiemy, że wytwórnie „Turkmenfilm” w Aszchabadzie, „Uzbekfilm” w Taszkencie czy „Tadzykfilm” w Duszanbe legitymuje się podobną produkcją, że tamtejsze, tak bardzo dla nas „egzotyczne” filmy wynikają ze wspólnej dla nas wszystkich, współczesnej rzeczywistości?

„(...) Cechą dominującą od wielu już sezonów — pisze Wojciech Wierzeński w pracy „Współczesność i tradycja w filmie radzieckim” — jest swoista „mozaikowość” obrazu kinematografii radzieckiej. Oznacza ona współgranie diametralnie różnych — zwłaszcza dla obserwatora z zewnątrz — motywów tematycznych i konwencji artystycznych, stanowiących proste odbicie specyfiki kina stu narodów i dwustu pięćdziesięciu milionów obywateli. Zapominamy zbyt często o tym fundamentalnym fakcie, iż Kraj Rad to integrujące się społeczeństwo wielu tradycji i kultur, gdzie te same procesy przybierają zupełnie inny kształt. (...)”. Dodajmy, że wspólna cecha, na jakiej wspiera się owa „mozaikowość” kina radzieckiego, jest zawsze respektowanie wartości humanistycznych, wychowawczych i ideowych.

W zorganizowanym przez „Barierę” przeglądzie największe zainteresowanie wzbudził nie oglądany dotąd na polskich ekranach film armeński „Barwa granatu”, zrealizowany w 1969 r. przez Siergieja Paradzanowa. Powstał on w fascynacji twórczością znanego XVIII-wiecznego poety armeńskiego Sajata-Nowa’y. Choć śledzimy w nim sceny z życia poety od wczesnego dzieciństwa aż po śmierć w późnej starości, „Barwa granatu” nie jest w żadnej mierze filmem biograficznym. To raczej coś w rodzaju „malarskiej” impresji próbującej w plastycznym, filmowym kształcie oddać istotę poezji Sajata-Nowa’y, ducha epoki oraz istotę kultury i sztuki Armenii. Słowo pada rzadko; jest najmniej ważne. Co pewien tylko czas fragment poematu XVIII-wiecznego twórcy staje się jakby hasłem wywołującym do kolejnej malarsko-pantomimicznej sekwencji. Znajomość sztuki i historii Armenii, jej kultury, a przede wszystkim wrażliwość i wyobraźnia plastyczna Paradzanowa są zdumiewające. Zadziwiają pokazwane przez niego zabytki, stroje, wytwory kultury materialnej, obrzędy religijne, przejawy tradycji kulturowej tego tak dla nas wciąż egzotycznego i mało znanego kraju, którego stolicą, leżącą u stóp góry Ararat liczy tysiące lat. Film trudny, odwołujący się przede wszystkim do wrażliwości i pokładów podświadomości widza; tym bardziej powinien znaleźć się na ekranach dyskusyjnych klubów filmowych.

Zyczymy sobie kolejnych imprez na takim poziomie.

M. D.



# KRZYŻÓWKA

(nr 24)

Poziomo: 1. pisarz rosyjski, autor „Anny Kareniny”, 4. słynny poeta rosyjski, przyjaciel Mickiewicza, 7. niedawno zmarły pisarz polski, 10. słaska gra w karty, 12. biblijny statek, 14. papiery urzędowe, 16. odciłek drogi, 18. Giedyminowa stolica, 19. krab, 21. czechosłowacka fabryka samochodów, 22. rosyjski pisarz – publicysta, o którym pisaliśmy niedawno w „Kamieniu”, 23. udułszy w spółoś, 25. spód naczyń, 27. mleka skórka, 29. zmniejszenie bólu, 30. ra, dziecki reżyser filmowy, twórca „Dziwocięciu dni jednego roku”, 31. klepski obraz, 32. kreca się na nich kółka, 33. kierownik zespołu tanecznej, 37. sarmata, polski adwokat starzej daty, 38. czeski matematyk.

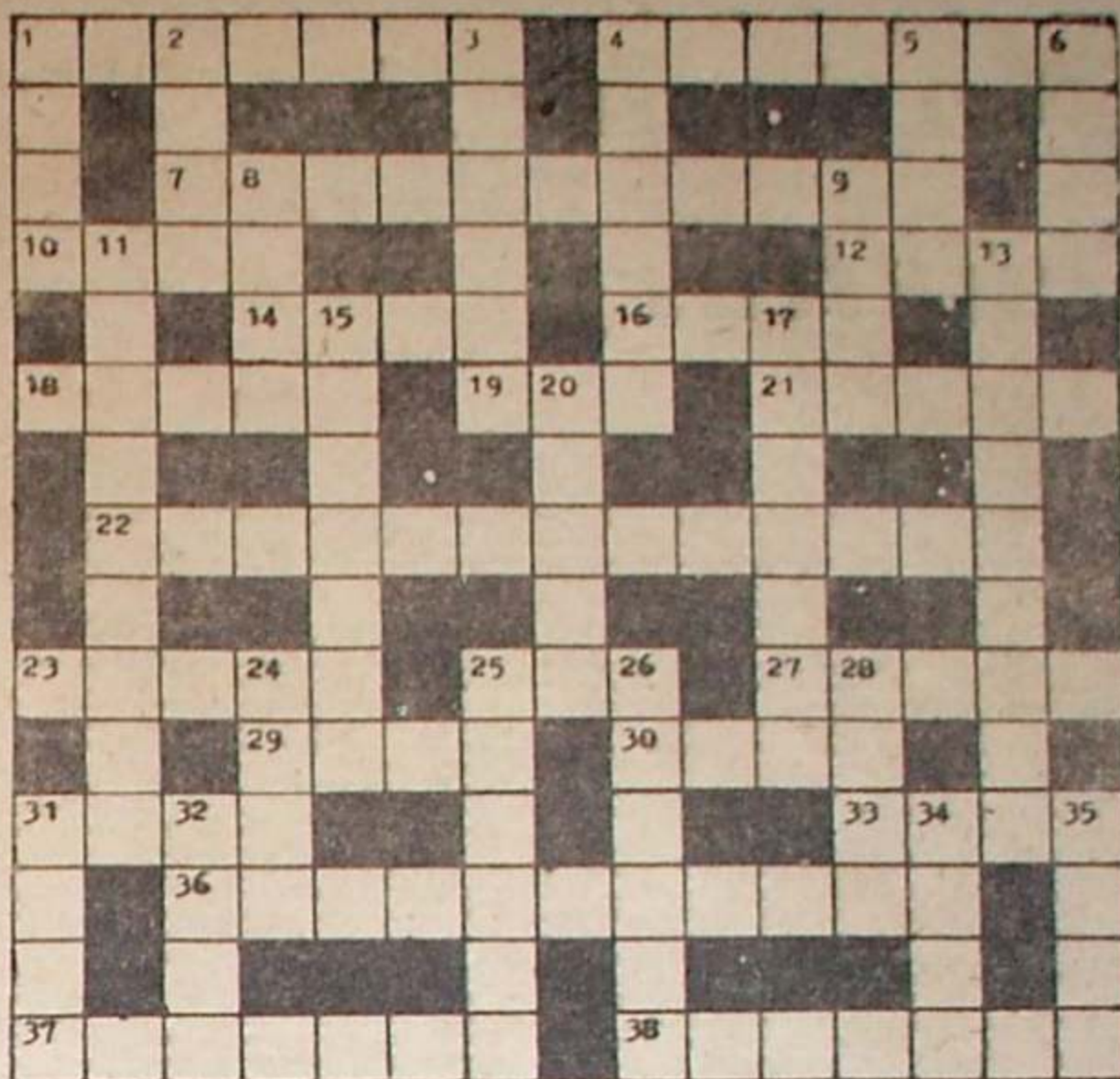
Pionowo: 1. poprzek, 2. kończyła zwierzęcia, 3. bursztyń, 4. przewany na szachownicy, 5. stolica Egiptu, 6. jama, 8. natarcie, 9. przykrycie łóżka, 11. poeta rosyjski, działacz „Ziemi i Woli”, 13. polski poeta – satyryk okresu międzywojennego, miał na imię Światopełk, 15. kolumna owiec, 17. dziedzielnice cech dalekich przodków, 20. pierwiastek chemiczny w trójwymiarowych związkach, 24. włókno na worki, 25. w pojedynku zabił 4 polono, 26. szczyt nad Zieleniem, dający nazwę pasmu górskiemu, 28. rymakłi bóg miłości, 31. ryba hodowlana, 32. starogrecka drobna moneta, 34. nad kopalnią, 35. wyspa zrestania Napoléona.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nr 22

Poziomo: Łuszczewska, sójka, curty, derwisz, Siedlce, Nogat, wirus, Perykles, kokota, szafir, Saturno, roslam, Mona Lisa, banda, szpic, terapia, złotnik, narty, jątka, kompetencja.

Pionowo: Rożewicz, Jasiński, luznik, Strug, Czyste, Erie, stal, Andersen, dukat, Apacz, rasa, orki, obraz, samotnik, traza, ambrozja, Rudnicki, Leczyca, ssnanie, Perse, Rzym, pole.



Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 22 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Helena Marzec 25-291 Kielce Wojska Polskiego 114, Sławomir Kocon 20-423 Lublin,

Dankowski 11/24, Czesław Kaczmarszyk 20-611 Lublin Bolesława Śmiałego 328, Halina Jaworska 20-609 Lublin P. Tadeusza 11/63.

## POCZTA literacka



G. D. Helzyce. Przysiąc trzeba, że przez nadeślanie wiersze przepływa pewien nurt tu i tam przynoszący zastanawiające sformułowania, ale całość nie jest ujęta w jeden skomponowany kształt. Jest to raczej jakiś wewnętrzny monolog poetycki, ciąg kłopotliwych nie powiązanych nielża zależności logicznych. Może to świadczyć zarówno o oryginalności, jak i o braku czytelnika. Poczekałmy i zobaczymy co się z tego wyklaruje.

E. J. Rzeszów. Owszem, w poezji trzeba przemówić własnym słowem, ale nie popełniając przy tym sprzeczności. W wierszu „Ma, pieśń jesieni” pisze Pan „lecz nie w wiatr maie nie zmienić”, a trzy wersy niżej „i znów czuje się wiatrem”. Nie można zapominać niczego, co się mówi „własnym słowem”, szczególnie na tak małej przestrzeni tekstu.

Marek Dziwron. Tytułuję w ten sposób bez obawy dekonspiracji swojego korespondenta, bo mam pewność, że to pseudonim. Otóż wiersz posiada ton uczuciowy odpowiedni do zawartej w nim życiowej sytuacji, ale brakuje mu zwarcia. Niektóre wersy mimo założonej regularności strofy wychodzą poza rytm, niektóre określenia są znadto konwencjonalne. Mimo to muszę powtórzyć, że nastrojem zostałem ujęty. W każdym razie widzę zasadę, że wiersz ma mówić o jakiejś istotnej sprawie życiowej, a nie wyzinnąć ewolucji na tropie niesprawdzalnych „eksperymentów formalnych”.

A. B. Opole Lubelskie. Nie mogę przesądzić, że te wiersze są już udane, ponieważ pochodzą od bardzo młodego autora, ale wyraża się w nich chęć powiedzenia prawdy, a to jest pierwszy warunek poezji. Tylko na początek rzadżbym uniknąć takich tematów, jak jesień i wiosna, ponieważ są już mocno ograne i trudno coś w nich nowego powiedzieć. A w każdym razie trzeba pamiętać, że nie temat jest istotną treścią wiersza, lecz ciąg skojarzeń danym tematem wywołanych. Życze powodzenia, a przede wszystkim cierpliwości, gdyż bez tej drugiej to pierwsze nie będzie możliwe.

K. N. Lublin. Konieczność zejść z tej drogi. Tak pisane wiersze nie wyrażają niczego prócz prawd oczywistych. Owszem, każde ujęcie pióra świadczy o potrzebie wypowiedzenia siebie przez autora, ale tylko pod tym kątem mogę je oceniać, bo nie zawierają żadnych cech literackich. Albo Pan sporo przeczyta i przemyśli, albo zaniecha tego zajęcia, które bez wymienionego warunku — przeproszam za szczerość, ale inaczej moja odpowiedź miałaby się z celm — nie przynieść pożądanego rezultatu.

W. S. Końskowola. Przypomina mi to próby z zakresu tzw. corminum figuratum, czy poezji konkretnej. Ten specjalny sztyk graficzny nie gra tu jednak żadnej roli, czyli jest niefunkcjonalny. Myślę, że zbyt wiele zaufał Pan „pomysłowi”, który wydał się oryginalny, a za mało włożył w to przedsięwzięcie zainteresowania. Wiem, że Pan będzie innego zdania, a nawet takie dyskusje mają w sobie dużo atrakcyjności jako załączek intelektualnego fermentu, ale stanowią raczej rodzaj gry, aniżeli sposobność do rozwiązywania kwestii. W każdym razie dziekuje za chwilę rozrywki.

Z. H. Białki Podlaska. Opowiadanie da się streścić do — być może ciekawego, zastanawiającego, ale — jednego zdania. To zdanie obudował Pan narracją, opisaniami, scenami i w ten sposób powstało kilka stron tekstu. Sek w tym, że ta cała przybudówka w żaden sposób nie tworzy jednolitego organizmu z myślą główną tak krótko dającą się wyrazić, ani nie jest jej symbiotantem. Wszystkie elementy utworu literackiego muszą być służebne w stosunku do zasadniczej jego intencji, szczególnie w prozie współczesnej. Pan tego warunku zaniedbał i wyszło za dużo niepotrzebnych zdań. Znaczące jest tylko jedno.

J. L. Lublin. Jest w tym dużo inwencji poetyckiej, ale wątki nie są „wyeksploatowane” do końca, widnie jakby niecierpliwość i zbyt pośpieszna robota. Owszem, w poezji nie ma wydźwięku z „męczenia” tekstu, efekt ma być uchwycony skolem wyobraźni, ale to nie znaczy, że odbywa się to poza pracą i wysiłkiem. Pan zdaje się nie przestrzegać wskazań wynikających z tych słów Makajkowskiego, że dla osiągnięcia grama poezji maruje się materiał setkami ton. Bądźmy dla siebie mniej wymagający, ale zasada pozostaje zasadą.

## Listy do kamery

CIĘŻKO

Przeczytałam kiedyś w „Kamieniu”, że grupy lekcyjne w szkołach podstawowych znacznie przekraczają ustaloną normę i są tak liczne, iż trudno marzyć o prawidłowym nauczaniu i wychowywaniu dzieci, o partym na bardziej indywidualnym kontakcie pedagoga z uczniami. Ze swej strony pragnęłabym wskazać na drobniejszy problem, choć w dosłownym sensie tego słowa znaczenie... cięższy. Otóż mój syn, uczęszczający do siódmej klasy, codziennie musi taszczyć do szkoły podręczniki, zeszyty i różne przybory o łącznej wadze około 7-8 kg! Jak na chłopca czternastoletniego, to chyba trochę za dużo. Najgorsze przy tym, że w tym wieku żadne z dzieci nie da się nakłonić do używania torbisty i wszystkie dźwigają ten ciężar w torbach przewieszonych z reguły przez ramię. Tak zresztą dzieje się już od III-IV klasy, wpływając deformująco na sylwetkę dziecka, na jego kręgosłup. Więc coraz częściej obserwuję chłopców i dziewczęta, które rosną nie tylko w górę, ale także na boki. Brzmi to śmiesznie i nieco paradoksalnie, ale dobrze chyba oddaje istotę rzeczy.

Inna sprawa wiąże się z tzw. klaso-pracownikami. Za moich młodych lat uczniowie konkretnej klasy byli przypisani do jednego pomieszczenia lekcyjnego, dzisiaj krążą po całej szkole, z pracowni do pracowni, co nie tylko męczy, ale powoduje też brak szacunku do szkolnego wyposażenia tych izb. Dzieci wyjątkowo „dzielnie” niszczą dziś sprzęty, ławki i krzesła, bo nie mają do nich bardziej osobistego stosunku. (...)

Anna Jarecka  
Lublin

### GDZIE SĄ DZIELA?

Bardzo ładnie wydał niedawno dwa tomy „Myśli” Marksa i Engelsa Państwowy Instytut Wydawniczy, obdarzając zainteresowanych czytelników 20 tysiącami jednej i drugiej książeczki. Było to bodaj cztery miesiące temu, no a dziś ostatecznie egzemplarze znikają z księgarń. Świadczy to o żywym zainteresowaniu marksizmem, które ciągle jednak nie jest w pełni zaspokajane przez naszych edytorów! Wspomniane publikacje to ewenement. Przy końcu lat czterdziestych „Książka i Wiedza” w „Bibliotece klasyków marksizmu-leninizmu” wydała oddzielne zeszyty, zawierające poszczególne rozprawy Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Czy nie można by powrócić do tej tradycji edytorskiej — w zmodyfikowanej formie? Osobiście chętnie kupiłbym antologię refleksji Marksa i Engelsa „O literaturze i sztuce”.

Zygmunt Moczulski  
Zamość

### ODBUDOWAĆ

Z wielką satysfakcją przyjąłem informację prasową, według której władze Lublina zamierzają odbudować budynek przy rogu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Kollątaja, rozebrany niedawno ze względu na niebezpieczne zarysowanie się jego ścian. Po rekonstrukcji w zabytkowym obiekcie znajdzie się sklep filatelistyczny oraz poczta, która instytucjonalnie ma przyłożyć rękę do odbudowy. W pełni popieram tę decyzję, która — trzeba to mocno podkreślić — ratuje unikalną przestrzeń urbanistyczno-architektoniczną Placu Litewskiego, budowlę o wielkiej urodzie i znaczeniu historycznym. Inne rozwiązanie, np. wpakowanie tu jakiejś współczesnej p l o m b y, mogłoby stworzyć fatalny precedens destrukcji Placu — choćby przez poszerzenie ul. 3 Maja prowadzącej do trasy W-Z, o czym, jak się orientuję, marzą niektórzy samochodziarze, utożsamiający kulturę z błyskiem lakieru ich „fiat”. Obrona zabytkowego śródmieścia Lublina nie jest zadaniem łatwym, to prawda, ale jest na pewno czymś koniecznym dla zachowania zdrowia psychicznego naszego społeczeństwa. Bo tu nie chodzi tylko o sprawy estetyczne — choć i tych nie wolno lekceważyć — lecz o symbole budujące naszą tożsamość narodową.

Dr Adam Jeleński  
Lublin

### Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Miłusiński (sekretarz redakcji) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Mieczysław Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,

— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78,-

Jednostki gospodarki odpowiedzialnej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratary indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28. 00-998 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki, piatki w godz. 14-16.

Wydawca RSW Prasa Książka-Ruch Lubelskie W dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna-6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unieka 4. Zam. 2849.

Numer łamal Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu 35251

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nac. 218-93, dział publicystyki i literacki 273-35.

Korespondencje zwykle kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.



# Na tropach chąttury

Istvan Grabowski



S. Zoltnay i Locomotiv GT

Fot. T. Lejeżnik

**L**OCOMOTIV GT najwyraźniej nie ma szczęścia do Lubina. Kiedy przed czterema laty ten ogromnie mocny i uważany za czołowy na Węgrzech zespół do nas zawitał, przetyliśmy pierwsze poważne rozczarowanie. Reklama zdecydowanie przewyższała umiejętności czwórki muzyków. Obecnie zaś Locomotiv odwiedził ponownie nasze miasto z dużą składanką estradową, którą wypełniły popisy rzeczono-go LGT, dwójga znanych solistów Sorolty Zoltnay i Zorana Szeranovity oraz nowej formacji V'Moto-Rock. Jakkolwiek zawsze darzyłem węgierski rock dużą sympatią, to muszę wyznać, iż tak fatalnego koncertu już dawno nie słyszałem!

Program zaprezentowany przez czterech liczących się na tamtejszym rynku wykonawców urugął wszelkim przyjętym zasadom. Licznie zgromadzona w sali WOSIR lubelska publiczność została nabita w butelkę najwyższej chąttury. Doprawdy inaczej nazwać koncertu przygotowanego na „lapu capu”, bez jakiegokolwiek myśli przewodniej, i konsekwentnej logiki, nie można. Na estradzie każdy grał jak chciał i śpiewał (a wolał) jak krzyczał) jak potrafił. A że niewiele wspomniani idole potrafili, wteć i efekt mu-żiał być żalony...

Pomijam już milczenie fatalne nagłośnienie i mikszowanie dźwięków przez dysurują-cego za konsolą akustyka. Barwa głosów i poszczególnych instrumentów zlewała się w wielki łomot i przeraźliwe rzęzenie. Na-żęzenie decybeli zdolne było ogłuszyć stu-żacza z każdym miejscem hali. Dziecię wy-żępa się jedynie publiczności, że dziecinie wntosła ten niecodzienny świąt bethotu i to-

talnej tandety. A muszę stwierdzić, iż wy-żępała ona z każdego kąta. Celowo prze-żęstrowane mikrofony uniemożliwiały czytel-ny odbiór ubogiej wokalistyki, a skandali-żęczne krzyki i wżęszki, tudzież bezsensowny łomot gitar i perkusji wystawiły wykonaw-ćom nienajlepszą cenzurę. O ile ktoś wierzył jeszcze w mil Locomotivu — pierwszej su-żępergrupy węgierskiej, to po tym koncercie stracił najpewniej złudzenia. Członkowie ze-żęspółu obnażyli bowiem zupełnie niksie umie-żęjności, a także brak wyrobionego smaku. Grał muzykę prymitywną, sprowadzającą się do kilku rock and rollowych chwytów, unikał dłuższych partii instrumentalnych. Niedostatków warsztatowe próbowali tuszować natężywaniem do wspólnej zabawy. Na nie to się jednak zdało, bo wyrobieni słuchacze nie mogli zaakceptować tanich grepsów i wżęzycznych podrygowań. Przerażeniem wżężę napawał skandaliczny występ nowego objawienia węgierskiej estrady — zespołu V'Moto-Rock. Kierowanu przez byłego basi-żęstę Bergendy — Ferencu Dēmjenu reprezen-ćował tak niski poziom, że doprawdy nie było dla niego miejsca na scenie. Tupetem i podkreśnianiem wzmacniający na „full” po-żękrzywało się tu amatorzyczne, jakiej wstę-żędzilby się pierzyczy z brzozy knajplanu on-ćsambli. Dezaprobata słuchaczy osiągnęła po-żęwne apogeum w momencie (krótkiego „co prawda) popisu Sorolty Zoltnay. Ta dżęw-ćczyzna nie śpiewała, ale opętanie krzyżęła do mikrofonu i skakała ku użężę rozoch-ćconych łomotem 17-latków. Młodzieżowa es-ćtrada wprawdzie rzadzi się własnymi pra-żęwaniami i trudno na siłę wżężęć jej znane poleczemy z filharmonii obyczaże. Niemniej

nie sposób wybaczyć choćby nie wiem jak długowłosym i „nowoczesnym” muzykom chaosu i programowego balaganu, a taki niestety panował na lubelskiej scenie. W trakcie występu jednego zespołu muzycy z drugiego spacerowali swobodnie po estradzie wtaczając się do gry w momencie, który uznali za stosowny. W efekcie powstała istna płatanina dźwięków, w której rozpa-żętrzy się nie mogli się nawet najbardziej osłu-żęchani z płytami tycheżę wykonawcy od-żębiocy. Koncert, który w założeniu stanowił miał wizytówkę naddunajskiego rocka, przy-żęsporzył mu jedynie zły sławy. Nikt rozsąd-ćny bowiem nie uwierzy w pisemne laurki, kiedy w rzeczywistości artyści zastęgują na-żęgie baty. Przy okazji wspomnieć by nale-

żało o nienajlepszym zachowaniu się żęporej grupy wyrostkowo zwabionych przez muzy-żęków do żęłosnego kłecania się przed sceną. Zapelniszysy wolne miejsce przed pierwszymi rzędanami nie zamierzali go do końca opu-żęścić. W nerwowych pżęłanach czuli się swo-żębownie i na nie zdawali się protesty wido-żęwni zgromadzonej na parterze. Pomogły do-żępiero interwencje służby porządkowej, ale-żę nie było przy tym szarpań, przepychań i wulgarnych słów, nie liczących wcale z sie-żędlikiem kultury. Tanie wino szybko widał zawraca młode głowy. Wystarczy trochę-żę głośnej muzyki i awantura ootowa. Wudaje mi się, że po ostatniej dawce na długo be-żędzilemy mieli dość mocnego uderzenia zła-żęszcza to węgierskim wykonaniu.



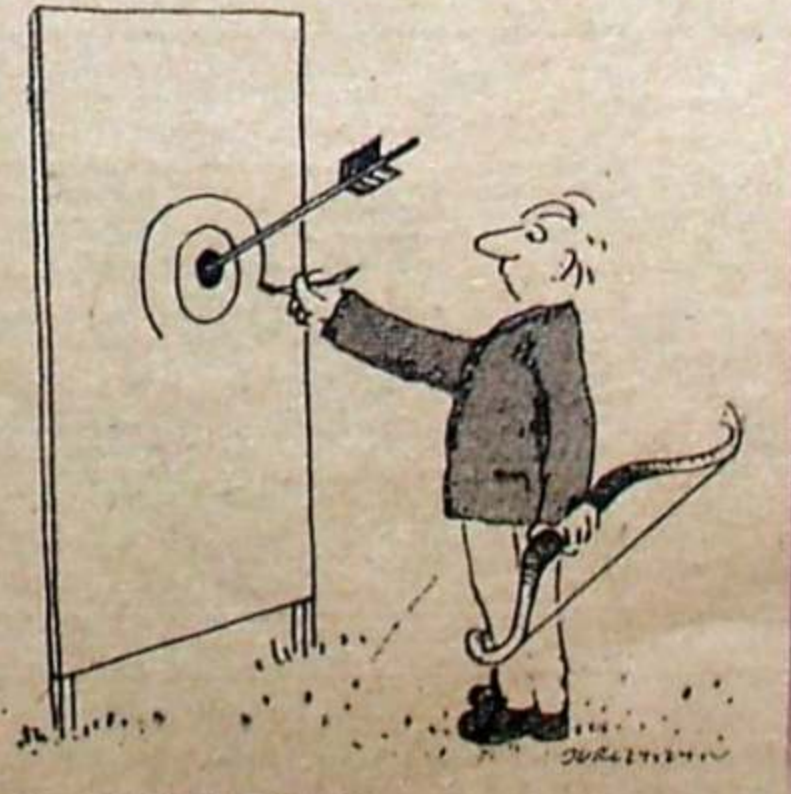
Władysław Grzeszczyk

## MOJE ODKRYCIA

- Niekiedy i o grzechach grzech mówić.
- 
- Czasem zmiana środowiska pomaga zachować przy-żęciół i pozbyć się wrogów.
- 
- Niektórzy dopóty mydł innym oczy, dopóki nie umyją własnych rąk.
- 
- Kto zawsze zna swoje miejsce, ten wciąż na miejscu.
- 
- Ludzie — jak świece, dopalają się lub gasną.
- 
- Gdzie przez cały miesiąc kanada, tam w dniu wypłaty — meksyk.
- 
- Czasem jedynie brak stanowiska zapewnia sta-żęnowisko.
- 
- Życie płynie rzeką. Często także zatrula.



Rys. Waldemar Rukść



Rys. Józef Jureczyszyn

Tadeusz Fangrat

## FRASZKI

REFLEKSJA POETY

Jak tu wypłynąć na wody szerzej obfitującym w wodę wierszami!

O FRASZCE

Czasem fraszka tyca oddaje ogrom życia.

W MIŁOŚCI

Nieważne Ignienia bez serca drgnienia.

A JEŻELI

A jeżeli głowie przewraca się w głowie?

NATURA

Natura marzycielska w kwiały zmienia zielska.

KOLEJNOŚĆ

Najpierw kontakt, okres próbny i na koniec kontrakt — ślubny

SŁODKA SWOBODO

Słodka swoboda samotności, jakże gorzkniejesz w dniach starości!

POCIESZENIE

Niechże pani się nie martwi, w zęże również oczu czar tkwi.

Z KYNOLOGII

I obroża wiedzie na rozdroża.

PRO PUBLICO

Na recepcjach trawię prywatnie w publicznej sprawie.

NIEZBADANE

Niezbadane dzieje draństwa robionego na koszt państwa.

PRZYSŁUGA

Nie pozwalając mu się wziąć w lenno, przysługę oddała mu — bezcenną.